

Numer z numerów

**45 LAT
KAMENY**



ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 1 X 1978 NR 20 (662)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

*

PRZED Tobą, Łaskawy Czytelniku, 45 lat „Kamena” Twojego i naszego pisma. Wrzesień 1933 r. — to data jego pierwszego numeru. Chełm Lubelski — siedziba pierwszej redakcji Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski — nazwiska założycieli. Za sprawą tych dwóch w prowincjonalnym mieście zabito źródło inercyjny, która przez udostępnienie możliwości druku przyczyniła się do rozwoju życia literackiego na tym obszarze Polski. A stała się na tyle — niech nie będzie samochwalstwem stwierdzić to z naszej strony — atrakcyjna, że przyciągnęła szereg autorów zajmujących dziś czołowe miejsce w hierarchii społeczności pisarskiej. „Kamena” była miejscem pierwszych kroków dla później pierwszych w kraju. Przybos. Putrament. Czecho-wicz. Jastrun. Kamińska. Bienkowski. Nie wymienimy wszystkich. Masz więc, Łaskawy Czytelniku, przegląd publikacji głównie literackich z 37 lat, ponieważ dla uniknięcia zbyt bliskich powtórzeń kończymy go w zasadzie na roku 1970. (Ze względów technicznych niekiedy nie zachowujemy kolejności chronologicznej.) Poczytajemy sobie za oryginalny pomysł, że poza niniejszą szpaltą, notą od redakcji na str. 16 i stopką nie znajdziesz tu ani słowa napisanego dziś. Numer — tablica genealogiczna i album wspomnień. Wspomnień dla tych, którzy jeszcze pamiętają czasy początku, a takich — sympatyków naszego pisma — znajdujemy dziś i w stolicy i w najdalszych zakątkach kraju. Za granicą też.

„Kamena” wystartowała jako miesięcznik. W czasie okupacji podzieliła los każdego słowa polskiego: zamilkła. Wiele jej współpracowników znalazło się na liście strat kultury polskiej. Po wyzwoleniu odżyła jako kwartalnik. Wśród sprawców tego faktu znajduje się i Maria Bechzyce-Rudnicka, drugi po K. A. Jaworskim naczelny redaktor pisma. Trudności gospodarcze nie pozwoliły „Kamena” na większą częstotliwość, a nawet i tę nie zawsze udało się utrzymać. Obecnie jako regularny dwutygodnik towarzyszy zjawiskom politycznym, społecznym, gospodarczym i kulturalnym naszego regionu, a na poziomie poświęca miejsca niejednokrotnie więcej niż pisma literacko profesjonalne.

Kiedy — dzisiejszy zespół redakcyjny — sięgamy pamięcią przez owe cztery i pół dziesiątki lat, mamy prawo do satysfakcji z posiadania tej tradycji. Złożyła się na nią energia założycieli, upór kontynuatorów, przychylność władz i zainteresowanie społeczeństwa. Te cztery czynniki pozwoliły pismu osiągnąć wiek jeden z najstarszych w kraju, co podkreślamy z dumą, mimo że „Kamena” jest rodzaju żeńskiego. I dalszego przyrostu lat też nie będzie ukrywać.

REDAKCJA



Rafał Wojczek

RĘKOPIS

Chodzę wśród włosów słów, co są przedziwem skrytej w śnie stonozacieklej miłości.

Abym ją upiółł w jawną już tkaninę musisz mi palce uzręcznieć, mój Gościu.

Nie wiem skąd przyjdiesz: jeśliś jest kobietą uródź się z ciepłych macie moich dłoni.

Gdy z jednej wstanie glina twego ciała Z drugiej przetoczę w tę glinę śpiew krwi.

Oczy pożyczą twoim oczom światła byś choć przez chwilę była świadkiem świata.

Język urodzi dwie kropelki śliny by splukać z ciebie strach widziany — pot.

Będziemy mieli czas od ust do ust by prześcieradło wiersza na nas spadło.

Leon Pasternak

NOKTURN

W gniewie się cały zasklepiam tkwię w celi jak nabój w pocisku noc mruga gwiazdami lecz podejść się boi i blednac spoglada nam w ślepię spojrz — piętra na piętrach w ceglastym połysku — Taśmy ostro nabitych naboii.

Spiekota warg naszych o burzę wola o wicher co w kraty się wplecie oburącz bramy wyrwie zawiasom i runie schodami w głąb — a tu we dnie świszczą słońce wirująca kola wsączając gorączkę opuchłym nurom nocą zaś nienawistnie lśni księżycowy krąg.

Kroki biją o beton — to spada kroplami czas karabin strażnika kolbą trąca o mur czasem bagnet błyskiem w ciemności wystrzeli i po kratkach zadźwięczy stalowy blask — głosy przechodni w noc spadają jak w wór i sterczy groźny arsenal — krwawy wiezienny obelisk.

(nr 3, 1985 r.)



Martwa natura
Wkładka linorytowa Zenona Waśniewskiego

(nr 1, 1982 r.)

(nr 23, 1989 r.)

Słup dymu

Flomen *)

SLUP dymu, wzbijający się ponad placem Opery w Berlinie pamiętnej nocy 10 maja 1933 r., słup dymu ze stosu inkwizycyjnego, powitany faszystowskim podniesieniem ręki przez współczesnych Hunnów — ma głębsze symboliczne znaczenie, niż to się hitlerowcom wydaje.

Splonęli Marks, Engels, Babel i Lenin: odtąd niemiecki robotnik ma być bezdusznym niewolnikiem.

Padli pastwą płomieni Remarque, Renn i Barbusse, gdyż przeciw się będzie do wojny, którą należy gloryfikować.

Zgorzał Tomasz Mann: dzikus w brunatnej koszuli nie może mieć współczucia nawet dla umierających w Davos suchotników.

Na stos Arnolda Zweiga! Gdy się morduje Stellinga, cóż warta jest głowa rosyjskiego chłopca. Już nikt odtąd w Niemczech nie upomni się o życie biednego sierżanta Griszy.

Wassermana w ogień, gdy tysiące niewinnych Mauriziusów zapelnia obozy koncentracyjne!

Kellermana też. Nie trzeba „Głupców”, gołębiego serca pastorów. Młody Nazi nie zrozumie miłości Ingeborgi.

Zniszczyć Sinclair'a. Niemiec „Emile”

już odnaleźli swoją prawdę. A „Bostonem” jest każde miasto germańskie. Tolstoja spieścił! Szkodliwe są wyrzuty sumienia Niechludowa, Piotr Bezuchow wart więzienia.

Litości, litości przynajmniej dla Jacka Londona. Wszak to siła, hart, zdrowie, a przymioty te przydadzą się i hitlerowcom. Ale London jest mazgajskim humanitarystą, występującym w obronie nawet męczonych zwierząt. Ale London czci kobietę, gdy w brunatnym domu znęcają się nad nią, skoro myśli inaczej, niż Führer. Ale London potępił bestię Wolfa Larsena, a z kogóż się składają przywódcy Nazi?

Płomienie stosu, na który barbarzyńcy cisnęli dzieła największych pisarzy, nie wyrządziły książkom żadnej szkody. Ale blask ognia oświetlił wyraźnie prawdziwe oblicze niemieckiego faszystwu.

*) Pseudonim K. A. Jaworskiego

(nr 1, 1933 r.)

INGRES miał słabość do muzyki. Więcej nawet, uważał siebie wbrew sceptycyzmowi przyjaciół za wybitnego skrzypka. Może miał część racji, gdyż i ta namiętność przysporzyła mu sporo popularności i nie ma chyba dzisiaj (wyjątki potwierdzają regułę) żadnego artysty (a cóż dopiero mówić o politykach), któryby ośmielony przykładem nie sięgnął od czasu do czasu po „violon d'Ingres”.

Bywa jednak i tak, że słuchacze rekrutując się przeważnie ze sfer głuchoniemych z przyzwyczajenia usiłują ruch grającego odczytać według alfabetu „migi” (na-), a wtedy nie tylko skrzypiec, lecz nawet orkiestry symfonicznej „słuchają jako violon d'Ingres”.

To ostatnie to casus André Bretona.

Nadrealizm w wydaniu popularnym ma zwykle w podtytułach dopisek: écriture automatique. Przeczytawszy tytuł, podtytuł i spis rzeczy, każdy nieuprzedzony zostaje nadrealistą, a nieufny wrzuca książkę bez skrupułów do pieca. Należałoby odstąpić od skomplikowanych podziałów na faszystów, awangardystów i anty-, a zastąpić to wszystko prostym i zrozumiałym podziałem na nadrealistów i nienadrealistów. Wszystko tłumaczyłoby się łatwo: granice między ludźmi oparte są na nieporozumieniu.

Los écriture automatique przypomina los teorii względności. Jeszcze Cwojdzński wystawi ją na scenie, a trafi pod strzechy na pewno.

Écriture automatique wyrwana z kontekstu i przetłumaczona na „pisanie automatyczne” pojmujemy zbyt często w odniesieniu do... pisania. Rozumiemy ją jako stan (a nie — czynność) opancerzony dostatecznie klauzulami psychicznymi: każdy akt woli sprzeciwiłby się rzekomo czystości treści, którą ona ma wyrazić. — I tak dostatecznie pracujemy w podświadomości. W nas czynią się sprawy, my bądzmy „sejmsografem”. Bądzmy w transie! —

Taka interpretacja głównego założenia nadrealizmu prowadzi do krytykowanej łatwości. Fakt, że mało płacimy za to, co ma być nie tylko literaturą, lecz odsłonięciem tajemnicy, a niejednokrotnie i przepowiednią zarazem, winien w nas wzbudzić podejrzenie o słusności zajętą stanowiska (bo nie można przeczyć nieproporcjonalności między ceną i towarem tłumaczącym tym, że psychika ludzka nie ma ustroju kapitalistycznego).

Écriture automatique nie jest celem samym w sobie. Jest środkiem, narzędziem w pracy. Ambicją nadrealizmu jest jak wiadomo, wyznaczenie „takiego punktu w umyśle, z którego życie i śmierć, rzeczywiste i wyimaginowane, przeszłość i przyszłość, wyrażalne i niewyrażalne, wyż i niż przestają być sprzecznościami”. Istnieje związek między zamierzeniem i pracą mającą to zamierzenie zrealizować. Ambicją nadrealizmu jest ogromna — czyżby droga prowadząca do jej realizacji miała być mechanicznymi schodami?

Breton w pierwszym manifestie określił nadrealizm jako „czysty automatyzm psychiczny, przez który należy usiłować wyrazić ustnie, pisemnie bądź jakimkolwiek innym sposobem rzeczywiste funkcjonowanie myśli. Tworzenie pod dyktando myśli przy jednoczesnym wyłączeniu się jakiegokolwiek kontroli rozumu i troski o zgodność z estetyką lub moralnością”. Definicja ta będzie jasna całkowicie

tylko wtedy, gdy przeciwstawienie myśl — rozum dopełnimy konkretnie na terenie bliższym, terenie wyrażania; wtedy, kiedy myśli odpowiadać będzie mowa, a rozumowi język praktyczny. „Mowa została dana człowiekowi po to, by zrobić z niej użytek nadrealistyczny”.

zy wewnętrzne, ma mowę wewnętrzną uzewnętrznąć w postaci obrazów wtórnych (w stosunku do poprzednich), obrazów nadrealistycznych. „Nie ukrywam tego, że dla mnie najważniejszą cechą wspólną (obrazów nadrealistycznych) jest ta, która oddaje najwyższy stopień dowolności: ta, która naj-

wewnętrznej, tak poemat — wizją zorganizowaną, wypracowaną środkami artystycznymi obrazu myśli. Stopień podobieństwa ma decydować o prawdziwości lub fałszu: automatyczna bliskość prawdy. — To właśnie jest dla nas najważniejsze. Jeśli écriture automatique ma być narzędziem poetów, to należy ją rozumieć jako narzędzie w pracy nad stworzeniem nowej rzeczywistości.

Praktyka nadrealistyczna wykazała, na jakie trudności napotykamy chcąc zmusić się do mówienia. Notowanie snów, stanów mediumicznych możemy dziś uznać za ćwiczenia stylistyczne innego wymiaru. Chodziło o podparcie mechanizmu, by móc go potem wytwarzać seryjnie. A pierwszy sukces, jaki by on był, osłabia samokrytycyzm.

Przyrządy wytwarzały istotnie i fakt ten uznano za wystarczający. Dziś wiemy, że miast zbliżyć do mowy wewnętrznej, rzucono się w objęcia fantastyki okropności. Zdziwienie uznano za problem prawdy. Czystą prawdę malarze nadrealistyczni wyobrażali jako twarz w spazmie przerażenia. Naturalnie jest w tym wiele słusności: wiemy przecież z codziennego doświad-

Écriture automatique

Zbigniew Bienkowski

Język praktyczny ma wartość obiegową tylko, komunikatywną, podczas gdy mowa istnieje tylko w stanie czytym. Mowa nie może być stosowana (w sensie podobnym jak sztuka stosowana). Mówiąc właśnie nie mówimy: używamy języka tylko. Mowa nie znajduje się w zasięgu narzędzi fizjologicznych. Mowa ucicha na pierwszym stopniu świadomości.

W wydanej niedawno książeczce pt.: „Nadrealizm i psychologia” Jean Cauaux omawiając z psychologicznego punktu widzenia écriture automatique na wstępie zastrzega się, że „automatyzm nie odnosi się do pisania, lecz do stanu poprzedzającego je. To znaczy, aby zrozumieć znaczenie écriture automatique, trzeba ją umieścić w ramach mowy wewnętrznej”. Uwaga ta ma pierwszorzędne znaczenie. Jeśli Breton swoim spodziewanym adeptom radził: „Zaopatrując się w przyrządy do pisania usadowić się w miejscu możliwie sprzyjającym skupieniu umysłu na sobie samym. Wejście w stan najbierniejszy, na jaki się możecie zdobyć. Abstrahując od zdolności, talentów swoich i cudzych. Powiedzieć sobie, że literatura jest jedną z najsmutniejszych dróg prowadzących do wszystkiego. Piszcie szybko, bez planu powziętego z góry, dość szybko, by nie zatrzymać się i nie pokusić o odczytanie napisanego” — to przez przeoczenie lub niechęć zapomnieli dodać, by przedtem przecięli sobie żyły na rękach, a potem wypili szklankę zimnej wody.

Na planie mowy (mowy wewnętrznej) możemy znaleźć się tylko wtedy, gdy zniknie wszelki przymus pobudzający do oporu lub rozumnego w „działania; gdy odwróciwszy oczy na drugą stronę krw’ zaczniemy tworzyć obrazy, a nie przyjmować. Widok wewnętrzny jest wtedy piśmem obrazkowym, syntetyzującym myśl. Nie ma już miejsca na niewyrażalne, a tajemnica, jeśli istnieje, to jako reszta rozumnego kiedy indziej rozumianego.

Ten stan ni snu ni jawy, stan czystego myślenia Breton nazwał nadrealnością. Program jego i znaczenie écriture automatique jest niczym innym, jak możliwie najwierniejszym odczytaniem i odtworzeniem tych obrazów myśli.

Écriture automatique ma więc odzwiercać możliwie najdokładniej obra-

żeńiu na język praktyczny”. — Wystarczy chyba na zabicie miotu łatwości.

Jest rzeczą zrozumiałą (i Breton nie miał co do tego złudzeń) że zastosowanie écriture automatique dało pole do wielorakich nadużyć i mistyfikacji. Nie o to więc idzie, nie o obronę „tekstów nadrealistycznych, lecz o sprowadzenie samego pojęcia z terenu ułatwionego i przywrócenie mu wagi, jaką istotnie posiada”.

Cauaux nie doszukując się filiacji, przeciwnie, zestawil marginesowo teorię Bretona z „Ulysesem” Joyce’a. Dzieło Joyce’a jest artystycznym wysiłkiem oddania neutralnego toku mowy wewnętrznej. Już dawno Eluard odgraniczył wyraźnie sny, „teksty nadrealistyczne” i poematy. Jak „tekst” ma być możliwie wiernym echem mowy esenia, że podobnie reagujemy na pięk-

no jak i na brzydotę. I to i tamto znajduje się na tym samym planie niecodzienności (a nawet brzydoty jest rzadszą).

Ale któż bardziej niż nadrealizm winien się zdobyć na syntezę?

To wszystko, co w pisaniu zwykłym jest interpretacją języka praktycznego, rozkoszowaniem się dźwiękiem, poszukiwaniem uroku w aliteracjach i muzyczności — w pisaniu automatycznym nie istnieje. Istnieje to tylko, co zbliża do mowy, nowa aliteracja — „aliteracja” znaczeń.

Écriture automatique jest pisaniem syntetycznym. Jej szczęśliwe zastosowanie ma miejsce tylko wtedy, gdy zjawisko i jego wykładnik pojęciowy pokrywają się bez reszty. — Bo pisać automatycznie to widzieć w ciemnościach.

— Bo sztuką jest właśnie zapamiętywać „sny bezgwiazdne”.

(nr 4, 1933 r.)

Jan Brzękowski

GEOGRAFIA

potrzeba nas cisza uroczysta jak lato i jakiak
pod kolorowymi parasolkami
lunatycznie
wachtują się wyspy zielonego przyładka
od
podbiegunowych zatok
eskimoski o włosach z lodowatej waty
w koszulach białych jak żagle
z wiatrem
plyna do portu ocalenia
pod zwrotnikiem koziorożca XVII wiek
wieje na markizach chusteczkami z koronek
muryzunki o piersiach jędrnych jak gruszek
placzą nad rzeką Livingstona
na św. Helenie ronią lzy drobne jak groszek
z oceanicznym pejzażem w oczach
z florą wód i mórz
z różą wiatrów skrwalona jak łak w ksi
opadają
na wyspę wieńcowostapienta

(nr 4, 1933 r.)

Włodzimierz Pietrzak

FILOZOFIA SIERPNI

Nieba gorzącego chmurami zachodu,
ziemi, gdzie owies rósł i niski jęczmień,
nie zamienisz nigdy w słowa,
brzęczące jak psaki na wiejskich płotach.

Pójdiesz, depece mokry łubin, na połów,
śpiące skowronki z pod nóg ci przysła jak błoto,
popatrzysz,
dokąd w przedroczyście przestrzeń spada świat
i czołem bić będziesz o próg, o podziw.

Las mija wieczor i trawa:
oczami, zmożonymi jak wyżyły, dociec,
czym jest trwanie i czego się szuka
przez lata płynące długo.

Gdyby na skrzydłach lekkiej wałki dano się zważyć
widok, przechodzący w obraz —
ta myśl dla was będzie nierozumna i obca,
synowie ciepłej wygodny, malarze
przechylających się lat:
nie wierzę, abyście przy mnie potrafili stanąć,
gdy dłoń, oczami ten wasz zdobywam
świat.

(nr 3, 1934 r.)

Seweryn Pollak

O gałązko wallego jaśminu!
Bielą płatków dygocąc od chłodu,
Czemu z wiatrem puściłaś bezsilnie
Cień swój drżący na piasek ogrodu?

Gdzież wyniosłe lepidodendrony?
Epokami wstrząsała się ziemia.
Czyżby wichur kosmiczny oniemiał,
Twojej bladej tykając korony?

O gałązko, bezsilna i drżąca,
Jakieś zmogła się, jakieś wytrwała
Koszarzone paloty ci słońca,
Lodowcami ci ziemia zmywała.

Na wędrownie skazane istnienie
Nocą wieków nie wzywaj pomocy!
O gałązko, przemijaj ci oczy
Świt, w słonecznym skapaniu strumieniu.

(nr 7, 1936 r.)

Jan Bolesław Ożóg

SZYSZKA Z POMARAŃCZĄ

Zadrgały jabłonie przydrożne, zawisty na modrzewiu
buczące szerszenie jabłkowe w powitalnym pośpiechu.
Świergotaty piłne klarne i wstępem jodlowej wiechy,
basista z bębniem piwnym zawiał wódka i śpiewał.

Znow trwane oczy wesoła gorzali, jak ozdoby,
w żerdziach płotów różę puszyste rozplakaty się gorzko,
Wystadaty z wozów i szorstkich, wiklinowych półkoszów
dziewczynny rozrosłe i zdrowe, Luna biła od kobiet.

Szedł na organistówek, bratki w butonierce kolebiąc,
graniasty drużba i niósł szyszkę z zaknietą pomarańczę.
Wesele! Wesele! Na siwej podłodze w lesie tańczyć,
I powe, podleśne okapy niech nam pachną pod niebem!

(nr 4, 1936 r.)

Julian Przyboś

Z TATR

Słyszę:
kamiluje tę przestrzeń niewybuchły huk skał.
To — wrzask wody odzieranej siklawą z łozyska
i
gromobicie ciszy.

Ten świat wzburzony przesłuszanem spojrzeniem
uciszę,
lecz —

Nie pomieszcze twojej śmierci w granitowej trumnie Tatr.

To zgrzyt:
czekana,
okrzęsany z echa;
to tylko cały twój świat
skurczony w mojej garści na obrywie głazu;
to — gwałtownym uderzeniem serca powalony szczyt.
Na rozpacz — jakże go mało!
A groza — wygórowana!

Jak lekko
turnie zawisła na rękach
utrzymać
i nie paść,
gdy
w oczach przewraca się obnazona ziemia
do góry dnem krajobrazu,
niebo strącając w przepaść!
Jak cicho
w opuszczonej dłoni pochować Zamartą.

(nr 7, 1934 r.)

Józef Czechowicz

PRZEDŚWIT

Pół globu wypływa z nocnych gwiazdności,
Śpiący już ręce unoszą. A zasłani są gęsto jak sieć.
Przedświt schodzi łagodnie. Ma moc uspokoić, uprosić,
lecz ginie, gdy się w niebo wleje płonąca miedź
Północ sączyła udrekę. Cóż z tego? Zabłyła woda,
można choć konno uciec! Uciec wzdłuż siwych wierzb.
Tu — koń, tu — na wprost, drogą, pachnie jesienna uroda,
zaranna rosa liże, po rękach liże jak zwierc...
Jest wybawienie, kupcy, cieśle, prorocy, złodzieje!
Patrzeć młodo!

Widnokrąg ugnie się niby rzemień.
Zanim rozdnieje —
stszem ci!

Pozietrze radisz,
to pęd to pęd,
u czoła uciec
i wiatr u pięt.
Promienie wierzb
unoszą wiatr
i wiatrem koń
w czerwony pęd, w niebieski pęd,
w zielony pęd
Ha! W wodospadach pagorkow — tętent lotnej pogoni!
Najbliżsi, nienawistni, na koniach smolistych i rydzych.
Chcesz, czy nie chcesz zaliczonyś do nich.
Widzisz?
W świtanu palającym przewala się tłum jeźdźców,
a oddalając się rosną! O kłesko! Dno!

Zawrzały jednocześnie noc, północ, świt i wieczór!
Droga, strumień, wierzbiny burzą się, wirują, grzmiją!
A konie jak urastają, gniotąc ogromem jesień!

W potwornych obłoków leju znikasz i ty, i oni, i wszystko...

I nie wiadomo gdzie się
ozwała trąbka żołnierska,
grając opadłym z wierzb listkom...

(nr 4, 1934 r.)

Anna Świrszczyńska

KONNICA

Ponieważ jest za wzgórzem, słychać tylko trąbkę,
ale za chwilę w całej okazałości ukaże się
ta kolumna zdrowych ludzi,
duża ilość koni i chorągiewek
rozmaitych, pełnych męskości
wśród całej masy oczu wychylonych łakomie w doczesność.
Tylko oficer może być traktowany jako indywidualum.
Dama z eleganckiej karjolki
zatrzymanej na boku
przechyliła ciekawie w jego stronę skropioną słońcem parasolkę.

(nr 3-5, 1936 r.)

Kobiety są jak powieści

Anatol Mikułko

WEDŁUG obliczeń statystycznych — na jednego mężczyznę przypada średnio 7,24 kobiety. Aż! Kobieta w ogólnym znaczeniu tego słowa — to orzech, który czasem łatwiej pogryźć niż otworzyć. „Dylemat” ten w pierwszym tygodniu normalnego współżycia jest względnie prosty i nietrudny, potem już zaznacza się zbyt wielka różnica płci. Następują historyczne historie z „zagadkowością” itp.

W powieściach, plotkach i zachwytach „ona” jest zawsze żoną, kochanką, wdową, rozwódką albo niezamężną. Te określenia nie nie mówią, narzucają bowiem z góry jakąś łączność z mężczyzną. A tu chodzi o podpatrzenie „jej” samej, o uchwycenie in flagranti sensu szeregu używanych wyrazów — zdawałoby się — gdyż definicje, używane na oznaczenie „żeńskich połowy ludzkości”, mają swój ścisły odpowiednik w poszczególnych typach. Oczywiście typy te interferują — to znaczy jeden może z czasem przejść w drugi.

Słyszy się: dama, kobieta, pani, niewiasta, panna, panienka, dziewczica, dziewczynka, baba. Za każdym z tych słów stoi jakaś wijsza, kształt.

DAMA jest pojęciem nierealnym i bezpiecznym. Nielitościwie amputowana od pasa i zestawiona nierozdzielnie z drugą pożądaną godną towarzyszką — całą egzystencję spędza w suwerennej zależności od króla. Strach pomyśleć, że tak torturowana — służy do rozrywki eleganckich panów. Gdzie Armia Zbawienia? Gdzie polleja?...

Dama jest nieuchwytna. Wystarczy wspomnieć te „czarna”, niesamowita, o zbrodniczych instynktach, która grasowała kiedyś w Warszawie. Czy ją kiedyś kto widział?

Z rzadka (zawołowana i „zakutana” do nosa) przemknie koło budki portiera hotelowego, miedzącego na drugi dzień rozszepianej służbie: — „Ten spod 13-go przyprowadził jakąś damę”. Oczywiście określenie to stosować można tylko do sylwetki smukłej, wytwornej (włoska konieczna) — do kogoś otoczonego nimbem bogactwa, tajemniczości i esencjonalnych woni autentycznych „Coty”. Zostać „dama” — to marzenie każdej, choć żadna go nie osiąga. Oczywiście są wyjątki. Słyszałem o takim wypadku wczoraj. Jeden w cyklistówce mówił do drugiego w cyklistówce: — „Jaka z naszej Małki zrobiła się dama. Pi! Pi! Gali same luksusowe i z byle frajerami się nie zadaje”.

Przymiotnik „damski”, wbrew pozorom, dotyczy mężczyzny: krawca, szewca, fryzjera oraz przedmiotów: papirusów, butów itd.

KOBIETA jest bardzo cielesna. Ale to nie człowiek, to — jednostka robocza (coś w rodzaju jednostki pracy, np. erg.) o dużej wydajności i wszechstronnym zastosowaniu. Do innych towarzyszek swej płci znajduje się w takim stosunku, jak koń parowy do każdego innego konia. Kobieta wynajmuje się do mycia podłóg, prania bielizny, wyprowadzania psa. Jest ona gruba, ma włosy upięte na weseł, nosi nieiane pończochy, ręce jej pachną ziemią i potem. Woła się na nią po prostu „kobieta”, a na jej męża „człowiek”.

Każdy z wyżej i niżej wymienionych rodzajów żeńskiej płci, rozbrany do naga lub w rozle choroby, staje się kobietą. I pod tą nazwą figuruje w szpitalach, podręcznikach medycznych i języku lekarzy.

Niedorośnięta kobieta nazywa się **DZIEWCZYNA**. Tak samo lub lepiej jeszcze pada się do pracy. Dziewczyna najczęściej ma dziecko, które chowa się w przytułku — i wtedy pracuje za marne pieniądze. W niedzielę chodzi do kina z narzeczonym. A w razie zawodu miłosnego truje się w bramie esencją octową. Praca dziewczyny nazywa się obowiązkiem, a wynagrodzenie — zastu-

stwo. „dziewczyna”, wypowiedziane z zabarwieniem uczuciowym przez mężczyznę, ma inny sens. Dotyczy kogoś, kto pachnie kwiatami...

PANNA. Cudaczne określenie, nie posiadające odpowiednika w świecie realnych istot. Spotyka się je w ogłoszeniach, jako „młoda panna do kapeluszy” i „starsza panna wykończarka”, w piosence myśliwskiej „tobie jeleni, mnie panna, towarzyszu mój” i w paszportach w rubryce: Stan cywilny.

Ojcowie nasi, którzy pamiętają czasy przedwojenne, powiadają, że istniały dawniej „stare panny”, istoty zgrzybliwe, wredne i chude, lubiące koty. Ale dziś są T-wa Ochrony Zwierząt. Więc ten rodzaj zanikł. Bo jeśli stara, to tym bardziej wszystko jedno.

PANIENKA. Stwór głupi, zakochany w Ramonie Novarro i posyłający „fotki” do „Kina”, jako „Młodopanna”. Wyraz „panienka” w V-ym przypadku używany jest przez służbę domową dla nazwania córki lub siostry pani domu.

W mieście panienkę cechuje bladeść — na balach różowa sukienka.

Na wsi — w szlacheckich dworach pyzata „z buzią jak malina”, co przetłumaczone lapidarnie na język ukraiński, brzmi: „diwka z modrojkak pampuch”.

DZIEWCZĘ istnieje tylko z przymiotnikiem boże. Jest to literacka transpozycja panienki.

DZIEWCZYNIKA — według słownika — dotyczy niedorośniętego okazu. Tymczasem każdy wie, że naprawdę to istota pikantna, z którą się przepija w kabarecie kolosalne ilości pieniędzy.

Poza tym — „moja ty słodka dziewczynko” można mówić, jeśli się jest zakochanym, do każdej.

BABA — wielkanocna o wiele miłsza i lepsza od żywej. Nazwy tej z akcentem podrażnienia i z przymiotnikiem używa się do „żeńskich stworzenia”, które nas w danej chwili złości.

Baba — to stary obdarty z uroku rekwizyt „prezławo wielczestwa”. Chodzi w chustce, zna się na ziołach, umie leczyć wszystkie choroby i może wyliczyć sąsiadów z całego podwórka.

Albo jest na utrzymaniu u swych dzieci, lub żebrze pod kościołem. Po jej śmierci okazuje się często, że miała dużo złotych rubli i dolarów, schowanych w szmatach.

NIEWIASTA. W literaturze oznacza białogłową o znacym i enotliwym trybie życia.

Obecnie tego określenia się nie używa. Pokutujące czasami w słowniku urzędnika pocztowego — spraważ wzię papilotów, barchanowych dessous i naftaliny.

PANI stanowi pojęcie bardzo szerokie. Używa się tego słowa nie tylko na kobertach listów, lecz i w mowie potocznej — przed nazwiskami osób, o których należy mówić dobrze i z szacunkiem.

Pani, dorosła panienka, jest nieokreślonego wieku i wykształcenia. Ma swoje mieszkanie, męża, służącą — i chodzi przez nól dnia w szlafroku. Zna mnóstwo przepisów na mazurki wielkanocne i ściegi włóczkowe. Holduje modzie i ona jedna spośród wszystkich posiada tajemnicę tego „co wypadła” i „co nie wypadła”.

Jeśli pani ma nową ciemną suknię, należy do Kola Pani (najczęściej przy jakimś pułku) i pracuje społecznie. Zbiera przy stołku kawłar-nianym na challenge, albo śpiewa na dożywianie niemowląt.

Ponieważ pani jest panią domu, więc wydała prozono kolacje, na których są kanapki, brzdź. Czytuje specjalnie dla niej wydawane pisma, miewa migrene i kłopoty.

Latem siedzi w Krynicy lub Orlewie, w zimie — u Tizaski w Zakopanem.

DZIEWICA. Szkoda gadać. Była jedna i nazywała się Orlewska.

Marian Czuchnowski

Gdy zima, jak światu srebrna kawiarnia
nad miastem szklano w powietrzu otwarta
Tak
stoi miasto w widoku
U
złotych dachów w przedmieściu. Jak
wzgórze.

JAK

Dla
mlecznych niebios ulice jak rana.
Cicho.
Księżyc
umknął
za rogatkę ciemności
niebo mnąc.
Głośniejsz konie. Szmer podków
miał w sine gwiazd stado!
Drzewa poranne w księżycu, i duże,
w ogródku mokrych lamp ze snu.
Biały pęk mrozu zwilgł.
Pod żyrandolem brzasku z srebrnych liści
wypuszczał w drugi pęk
Aż —
taje dzień w kamiennych okolicach.
To
proste.
Jak
byk
na
zółto.
Rano
furę czerwieni w powietrze wytrząsa,
za którym stoi wzgórze z złotych woni.
I stąd
biado
nocny stróż ulicę wdycha na jedwabny wąż,
która naga w szklanych murach dnia.

WYKŁADY PRZEMISŁOWY
KAMENA
MIESIĘCZNIK
LITERACKI
ROK VI NR 8-10

(nr 1, 1933 r.)

Stefan Napierski

UŚMIECH

Kiedy wyciszę przedmiotom wzmówię trwożną duszę,
lampa zaświeci w oczy, zegar cykać nie przestanie,
znów czekać będą na tej chwili zmartwychwstanie,
która wstrzyma sprężynę; lecz się nie poruszę,
gdy nocą pustka skrzydłem czolo me owionie,
nie wzdręgnę się, oddechu warg nie już nie zbudei
— od luster zapomniany, księżyców i ludzi,
śpiący z uśmiechem, ramię przelożę pod skronie.

(nr 3, 1934 r.)

Leopold Lewin

HYMN

Ziemio, srebrem strumieni gęsto wyszypwana,
Wykładana zielenią, brązem przetykana,
Nabijana w posadach miedzią i marmurem,
Nakryta obłokami, tęczą i lazurem,
Wysadzana szlachetnym, hartowanym kruszcem,
Porosła winnym gronem i pnącym się bluszczem,
Bogata w różnobarwne, wielościenne bryły,
W których szczerego złota przebiegają żyły.
W kamieni drogocennych nieprzebrane złoża:
Ziemio kojących kwiatów, owoców i zboża,
Na którą cień rzucają wysokie ogrody,
Którą witają — świty, żegnają — zachody,
Nad którą w roziskrzonych, pogodnych wieczerach,
Jak słociste pajaki wiszą gwiazdozbiory,
W której gorącym wnętrzu wieczne ognie drzemią
I wrząca lawa kipi.

Rozpalona ziemio,

Rzucona w planetarne, śródgwiazdne ogromy,
Gdzie pędzą meteory, komety i gromy!

(nr 4, 1934 r.)

Teodor Bujnicki

TRUMNY

Nawet wierszy pisać już nie umiem,
nawet leżycząc nie potrafię głośniejsz.
W niespokojnie zapatrzonych oczach rośnie
wizja prostych i mleczanych trumien.

Wiem, że śmierć jeszcze bardzo daleko
czeka na mnie łagodna i dobra,
ale już mi serce w śniadym masydź się obleka
jak szerniały bizantyjski obraz.

Z dnia na dzień liczę chwile nadchodzące
może nawet piękne i szczęśliwe,
o zdarzenia blaha potrącam
jak o strunę napiętej ciecichwy.

I doprawdy nie wiem i nie myślę
o tym końcu, który z mgły wypłynię,
tylko widzę trumny, trumny
jak łodzie na wierzbranej głębinie.

(nr 6, 1934 r.)

Ignacy Fik

WEZWANIE

Kto drzewom samotnym pozwała polec na szerokim polu,
ten niebo zawalił, ruinę przyłożył do ziemi.
Za mało nocy gubieni w żon nagich ramionach
my ludzie zbyt szybko spłoszeni —

Krzyk nastraszony zawsze rzecz przeinacza z uporem,
spojrzenie zawistne zamglony ma kontur lampionów,
szkło nigdy powietrza nie zgarnie pośinnie,
w dłoniach opuchłych zagina się kształtów poręcz —

Najlepszym protestem przeciwko przemocy
jest nasza radość —

W ścianach złych horyzontów pion jest piątą stroną —

Patrz! — do wodopoju
nocą
tuczonych aniołów zlatuje stado.

(nr 8, 1938 r.)

Mieczysław Jastrun

DZIEJE

Jak epoki geologiczne
Idą dzieje, czy idą, czy stoją?
Nie wiesz — nawet. I nie pytaj milceń,
Co nie znają twego niepokoju.

Patrzysz w wodę — czy ty płyniesz z nią,
Czy też ona unosi cię sobą?
Nieruchome, przepastne dno.
Spojrzyj. Przeróż się! Zaczniij na nowo!

Słyszysz? Czarne zabobonu miotyły:
Nad stuleciem, na asfalcie dni.
Ręce czule, które wieńce spleły,
Warte rąk, co płaszały we krwi!

Jak nawpół mityczny daniel, tur
W głębiach nafty zabalsamowany
Wraca w dzieje stary, ludzki spór,
Otwierają się zaskrzepłe rany.

Narastają ciężkie, twarde warstwy,
Kondygnacje wieków, neolity,
Dudni ziemia pod czwartym cesarstwem,
Mioceny prześwietlają światem.

Wśród stuleci, jak wśród godzin, sam
Idąc miastem nocą neonową,
W huk maszyn, w blasku białych lamp
Spojrzyj. Przeróż się. Zaczniij na nowo.

(nr 5, 1934 r.)

Marian Piechal

ARTYKUŁ POLITYCZNY

Pierwszy wziął pióro, przetykał słowa,
zaciśkał pięści, nagle otwierał,
zaczynał pisać ciągle od nowa,
od treści puchła każda litera.

Drugi podawał groźne jak bomby,
od prochu zdarzeń nabrzmiate fakty:
z borysławskiego na kraj ogromny
ile krwi tryska, a ile nafty.

Trzeci, garbaty, krztusząc się, chwając,
zdawał się wtórzyć nędzy człowieka,
oznaczonego przez podły pieniądz,
który księżycem tuzi z daleka.

I długo jeszcze ciekła z pod pióra
w strumieniu liter, w groźnej powodzi
krzywda codzienna, prawda ponura
ze wszystkich kątów Śląska i Łodzi.

Jak nabój straszny prochem natchniony,
tak gniew się w każdą literę kładł.
Kiedyż wybuchnie na wszystkie strony,
na całą Polskę, na cały świat?

(nr 6, 1935 r.)

Jerzy Pleśniarowicz

LUBLIN KIEDY WE MGLI

lipowa
ulica taka
bystrzyca jak szpilka wpięta w łak szarozielony plakat
lustra kaluże ze srebra
księżycowa owal

galop pracy motorów
dymy wysoko grzywo
spóźniony pociąg wieczoru
dworzec może oddali o zgrzy

pięść tak zaciśnięte domy
ptak ciemności lopot skrzydłami

plaszcz jak murem burej mgły potop
przedmieszć wiedzłą bukiety lamp
cienie jak koty
do bram

młodość
mgła
ze szkła

(nr 5, 1938 r.)

Aleksander Rymkiewicz

WĘDRÓWKOM LUDÓW I POŁOWI BUJNICKIEMU

Zimą narciarze z łomotem walą deskami o stok.
Ze skoku wycięte lasy rzucaly obrazem na miasto,
z okien i ulic skoczni zastygły na wschodzie obłok,
zimą uderza biała, latem czernieje gruchot,
dzieci w pobliżku wzgórz chodzą się leczyć z suchot.

Ze skoczni patrząc na miasto, na gwiazdy zwłochzone nad nami,
czarne świerki nie dojdą pionowo do gwiazd.

Turyści zdobywają szczyty, czekaniem zbocza łamiąc.
Na szczytach powietrze wybuchnie walczące z nami o byt,
siepami dolin przesuną wędrówki słońca i kopyt.

Z lotu nad Mount Everestem nie zdołasz przyszłości odczytać,
tylko ci ład opadnie do nóg i rąk.

Na tamtej ziemi byłeś chłopcem, tam zaszczerpiono patriotyzm,
aby rozkwitał co roku w zieleń i pieśń.
Kraj tamten przypomnij, byłeś bohaterem,
nie poszedłeś na front, bo lat miałeś sześć.

To wszystko dzisiaj odbudować trzeba
i przypomnieć strzały do wabiących się słonek,
zabite uderzały o mech ze stukotem monet,
aby pojać krzyk ludzi i barwy nieba.

Wtedy zrozumiesz także kobiety z włosami jak grzywowy łak,
wiosną karmiące dzieci skowycem przy blasku miesiąca,
Tamto odbiegło nas i tylko księżyc połączył.

Drzewa możemy zasadzić, drzewa pójdą na zrab,
w pociągach do portów kostki surowo ryż,
okręty dotrą do wysp, jachty o masztach jak krzyże
i ludzie nieznanym języków w żagle chwytając baksztag.

(nr 7, 1934 r.)

Jerzy Putrament

POECIE

Aleksandrowi Rymkiewiczowi

W letni ranek, kwitnący na ogromnym niebie,
nim skwar liście osuszy i z traw zetrze rosę,
pójdiesz drogą, przypadkiem rzuconą przed siebie,
pod horyzont, zamknięty korowodem sosen.

Poza lasem, gdzie twoja droga się zanurza,
tysiąc jaskrawych kształtów życia ciebie czeka:
białe szosy się ścigają przez nieznanne wzgórza,
nawisłe łozinami nad śpieszącą rzeką.

Tak przed tobą powstaną rzeczy, których grozą
zachłyśnięty napróżno do krzyku się zerwiesz,
prawo tępy brukowcem pięść na kark połóż,
dusząc nienawisć myśli i policzków czerwień.

Nim zejdziesz posiew zdarzeń niewyrosłych jeszcze,
ucz się oczy poskramiać i nie gardź rozpaczą,
najsilniejszym uczuciem dziadów naszych-wieszczów,
których słowem stanęła to, co nas otacza.

Oto czemu, skuleni przed występny światem,
próżno szukając w sobie harmonii i dobra,
chylimy się do strzelistej symetrii kwiatów
i wielbimy poranka dwubarwny krajobraz.

(nr 6, 1934 r.)

Stanisław Jerzy Lec

PODGLĄDAJĄC ZUZANNĘ MŁODZIENIEC

Spadały jeszcze różowe liście świtu
w dymiący widnokrąg,
gdy niosła cię ziemia pokazać słońcu
nagą jak owoc.

Rzeka piła z twoich piersi obłok
aż po namiętne koryto.
Chciała chwalić się twymi włosami
morzom tęskniącym u zatok,
wyspom zanurzonym w morzach po białka
lśniących murzynów.

Między Scyllą i Charybdą twych ud
ryby cienkie jak cień przemękały.
Niebo przeziiera już przez twoje uda
Rzeka została.
Ja bym wystąpił z brzegów.

(nr 5, 1939 r.)

Tadeusz Bocheński

ZACHÓD SŁOŃCA W KAZIMIERZU

Dopiero był Kazimierz, były wzgórza i rzeka,
dopiero się nad miastem dym nieśmiały rozwlekał.

Lecz oto znikł Kazimierz, znikły jesienne wzgórza:
w nocy się i w nicości świat szeroki zanurza.

Ocalała, zachodem w lekkie zmieniona szklivo,
tylko Wisła: różowe rozrzucając dzieło.

Tak czasem miłość, nocy oceanem oblana,
dwoma sercami krawaui, najśladza, wspólna rana.

(nr 3, 1933 r.)

Kozimierz Wierzyński

HRUBY

Hruby jest mózgiem skalnym. Widzisz ostre szczyty
Nateżone do bólu żłobistym skupieniem?
Ognie tędy lawiną zadymioną szły,
Ziemia stygła — i kamień się stawał kamieniem.

Czas, rzeczownik bezdenny, zapadł śród gór.
Lepił czaszkę z granitu i myśli w niej pisał.
Aż nieznana muzyką wielogłowy chór
Pod niebem nieruchomym swój śpiew rozkotysał.

Melodio niepojęta, ciszo wód i skal,
Która kruszysz się w uchu zaziemskim szelestem?
Cauje wiatr: niósł mię w dymach, ponad ogniem siał
I rozwił po istnieniu. Gdzie ja teraz jestem?

(nr 1-10, 1938 r.)



Fragment Chelma
Wkładka linorytowa Zenona Waśniewskiego

(nr 4, 1933 r.)

Kozimierz Andrzej Jaworski

WTEDY

To było przed ćwierćwieczem,
kiedy matka śpiewała melodyjnym głosem
i nie chodziła jak dziś z laską,
a ojciec chorych leczył
i mnie po twarzy glaskał.
Nie było czarnej na cmentarzu płyty
ni mnie poila poezji cysterna,
choć rozumiałem zachód złotolity.
Jeszcze wtedy nie spotkał się ze swoim losem.
Kochałem cyrk i Jules Verne'a.
Rostem.

A później do nas przychodzili goście,
pomagałem krzątać się matce
lub wtuliwszy się w kąt otomany,
z lękiem i ciekawością
dłoń wyciągałem do książki w czerwonej okładce
i nagle rósł przede mną świat zaczarowany.

Nie rozumiałem dziwnych rzeczy,
które się w czarnych rzędach wierszy działy:
jakiś szaleniec czy upiór zlorzezył,
ksiądz gromił i dzieci płakały,
trzy świece się paliły, każda potem gasła,
upiór coś gadał do ciem i motyli,
zegar północ wybijał i na owe hasło
człowiek nóż wbijał w pierś,
belkocząc o jakiejś Maryli.
Nie rozumiałem: wszystko tajemnicze —
i te o życiu i o śmierci głosy.
Ale czułem, że ktoś mnie mocno porывa za włosy
i patrzy w moje oblicze.

Minęły lata śmierci i lata narodzin
i świat mnie wpragnał w krag surowych ustaw.
Znam „godziny miłości” i setki „rozpaczy godzin”
i wiem, jak cierpiał Gustaw.
Umiem już czytać z hieroglifów liter
najzawilsze meandry serdecznych herezji,
sam próbuję zestawiać słowa rozmaite
i codzień się kapie w poezji.

A jednak wiem, że nigdy już, nigdy, niestety,
nie wróci tamta chwila pierwotnych wtajemniczeń,
gdy chłopiec, urzeczony magią słów poety,
w zadumie chylił głowę swą nad Mickiewiczem.

(nr 10, 1934 r.)

Paweł Hertz

GALARY

Lodzie, barki szerokie, nabrzmiały zmęczeniem godzin
spływały zwolna wieczorem do bladorożowej przystani.
Jabłka mieniły się w wodzie, w przejrzystym, głębokim chłodzie,
a srebrny płomień lateralny wypukłą czerą lodzi poplamiał.

Za miastem łąki szerokie, pagórki — piersi kobiece.
Coż znaczą barki na wodzie znaczone cieniem odbłyśku
wobec tych wiatrów pośpiesznych, co ezercien w zachodzie nieca,
wobec tych białych obłoków, płynących nad ziemią nisko.

Galary — białe obłoki — za dnia są inne niż w nocy,
a jabłka pachną inaczej nocami niżeli wie dnę.

Gdzież jest granica dnia, nocy, której nie umiem przekroczyć?
Galary — wislane galary — odpłynęły, nim północ zblednie.

(nr 1, 1934 r.)

Stanisław Ryszard Dobrowolski

JANOSIK Z TARCHOWEJ

(fragment poematu)

Ej, w Tarchowej na Orawie w limbowej kolebce
u sosrębu się wysoko wykolysał dzieckiem.
Nim go wiatr od Krywania owiał pod jedłami,
u pulapu smolistego wędził się z serkami
i z nawyku pod powalę rośl na chwałę górą,
a po ojcach miał — Janosik, a na chrzcie wziął — Juro.

Kolysała, holubiła matka Janosika:
Lulaj luli, duży rośnij, rośnij na zbójnika.
Masierują przez Orawę cesarscy werbowac, —
ej, nie budzies ty z giwerem, Juro, masierować!
Masierują po Luptowie cesarscy hajducy, —
ej, nie budzies z nimi chodził, Juro białorucy!
Jak po deszczu grzyby w lesie, rosną wieże zamków, —
ej, nie będzie rok urabiał Janosik na panków,
będzie Juro se gardował, bacował na hali,
a jak pojedzie, — leży w skrzyni siekierka ze stali.
A jak pojedzie, — za werbunek, za podwoły, strąfy
zadrza zamki na Orawie, zbledną w zamkach strąfy.

(nr 4-5, 1937 r.)

Jon Śpiewak

STROFY

Wtedy, gdy step był stepem, niebo paliło się tłusto
Dniepr ku brzegom się czołgał, jak usta ślepe ku ustom.
A ziemia wolanie roślin wchłaniała przestrzenia,
Wtedy było najsmutniej oczy otwierać zdziwieniem.
Ostry profil łodzi woda oślizgła rozpuszka.
Naprzeciw zdyszanych wysp — zielen i pustka.
Drobne krople piasku garściami wbij w ciało.
Niech skóra brzędem się syci, jak oczy dala.
Na maszcie drzewa sztandar lłaciasty — słońce i błękit,
Zbliżaj młodość, nachylaj, śpiewaj słowami i dziękuj.
Dziękuj, że jesteś, że rośniesz, życia własnego przechodzień.
Krokami odmierzone lata wieją milczeniem i chłodem.

(nr 10, 1933 r.)

Czesław Miłosz

ŚWITY

Wysoki był dom. W ciemności petł wielki mur
nad szelest liści u klonów, nad zamęt pośpiesznych nóg.
Wysoki był dom, światłami nad placem wschodził.
Z sykiem cichym wśród pustych przedświtowych godzin
winda parła przez piętra. Kable szeleściły,
kogut krzykiem w organy deszczowych rynien i rur
dął, aż domem biegł dreszcz. Słyszeli przebudzeni
w ścianach ten śpiew, straszny jak szczęście ziemi.
Już zgrzyta tor. I dzień. I znowu dymy
O, ciemny dzień. Nad nami zamkniętymi
w izbach na piętrze przelatują stada
ptaków szumiących śmiganiem piór.
Za mało. Życia jednego za mało.
Dwa razy być chciałbym na smutnej planecie
w miastach samotnych, we wsiach pełnych głodu.
Patrzeć na wszelkie zło, na rozpad ciał
i prawa zbadać, którym był podległy
czas, co nad nami jak wiatr ze świstem wieł.
Chorem zawodzą w podwórzu kamienicy
muzycanci. U okien świecą ręce zasłuchanych.
Ona wstaje ze zmiętej pościeli.
O sukniach i podróżach w swoich snach myślała.
Przed czarne lustro idzie. Młodość krótko trwała,
nie wiedział nikt, że proca dzień rozdzielił
na wielki trud, na martwy odpoczynek
i księżyc w nocy co wiosna przystanie
nad snem zmęczonych. W stuku ciężkim sere
nam ani wiosna już, ani kochanie.

Uda zastonić, niech nie wspominają
kłębami cienkich fioletowych żył:
to dziecko goni schodami kamienicy,
to dziecko biegnie słwym trotuarem.
Jeszcze daleko słychać śmiech;
na nowo, wszystko na nowo pozna
i drogą olbrzymią, pustą, mroźną
dzwoniącym grzmotem tętnic obszarem
pojedzie jej dziecko. I wyć będzie czas.
Przed lustrem nago stojąc dwie tzy
lekko wyciera kobieta chusteczka
i farba przyciemnia brew.

(nr 5, 1934 r.)

Jalu Kurek

ETNA

Spisek uknuty od dołu,
Skaliście unosilem się w żebrach.

Suto narastał w źlebie śniegiem dzień,
dzień jeszcze dziś wyraźny we wspomnieniu.

Ze skalą cierpiałem pospołu
nad ciszę rana wydzwignięty klamrą.

Tu przed wiekami
spiętrzone góry zastygły w wybuchu.

Taki kształt mają kamienie przed śmiercią.

Nad ziemią, wzburzoną nowym buntem, rosnę,
nagłym porywem wzruszenia
wyniosły

To był zamglony, ponury dzień Rysów,
jednym zamachem
podbitych dla oczu nogami.

Turnie,
przystanki wzniosłości,
panujecie nad nami.

W drugie lato
wyższy o tysiąc metrów
piętem się wśród kraterów wulkanu
bezbronny w morderczym słońcu.

Upał bił z dołu: od lawy.
Dymilo żarem miasto wypalonych żużli.
Anielsko bielila się Casa Cantonieri.
Jeszcze niżej — Catania po piersi opłynięta wodą.

Marsz rozpoczęty w winnicach,
ukończony w węglu.

Etna.
3.313 metrów nad powierzchnią morza.
Wpieklowstąpienie.

Komu
ten wysoki pożar
w dymie się rozplomienia?

Zostawiam wam górę brzydką, nie tkniętą marzeniem.

Te jedne z granitu, po których moja krew ciekła,
o tysiąc metrów niższe,
piękniejsze o ojczyznę, która mnie urzekła,
chwałę,
pod sycylijskie wyniesiony niebo:

tatrzańskie góry.

(nr 8-10, 1933 r.)

Franciszka Arnsztajnowa

OSTATNI FILM

W niesamowitym kinie
ostatni film się śni:

„Sen o Lublinie,
film au ralenti”.

Wycięte strzępy taśmy,
napisów brak,

któż sens powieści wyjaśni?
Wszystko na wspak.

Jakieś blade widmo wiozą
skrycie, tajemnie
nocą.

Księżyc pod kołami powozu
kola pod nim kamiennie
turkoczą.

Naróżnej kamienicy stróż,
lew, groźnie potrząsa grzywą;
w gniewnych oczach kamienicy

Sobieskich

błyskawice niebieskie
spod fioków świecą,
już z Domem Acerna siwym
pod ramię
wprost koni rozbieganych lecą.

Trzy Bramy,
wiatraki szumiące skrzydłami,
zastępują drogę;

za nimi tuż

wąwozem ciasnej ulicy
tłoczą się koniom pod nogi

Baszta z Mennicą.

Górą

Zamek Królewski w srebrnej lodzi
po chmurach
goni powóz, rozpuściwszy żagiel.

I nagle

Małe Lwiątko na kozioł skacze.

Prędzej, prędzej, bo chwyci wodze

póldiablę!

Ach, nie wiem, co film ten znaczy,
i nie wiem, czemu w tym śmiesznym

kinie

któż gorzko płacze,
i czemu serce tak bije

trwoga,

gdy wiozą tajemnie wśród nocy
widmo — niczyje.

(nr 3, 1935 r.)

Władysław Broniewski

HAWRAŃ I MURAŃ

Litworowe doliny
czarne stawy wysnity.
Górą jasna pogoda
a dołem biała woda
pośród kosodrzewiny.

Wolano i śpiewano,
zielonym wiatrem wiało,
przyleciał biały obłok
i słońce go przebodoło,
rozświeciło, rozwiato.

Zieleniło się, kwitło,
wrzało głębią błękitną,
wiosną śnieżnopuszystą,
nieuchwytną, przejrzystą,
nieprawdziwą, niezwykłą.

Przez dolinę z oddali
leśną radość wolali,
a zwabiony wolaniem,
stanął Murań z Hawrańiem,
jak ich dwoje na halę.

(nr 3-10, 1933 r.)

Konrad Bielski

NA ŚMIERĆ EDISONA

lampy zakwitły w miastach
nocy wydarło godziny
cudowną siatką drutów pokryto ziemską bryłę
w oślepiających blaskach
rozwiła swą taśmę kino
tego jeszcze nie było

poprzez oceany
głos ludzi do nas leci
płyń muzyka z daleka
huczą astrolany
milion stońc białych świeci
nad trumną jednego człowieka

kto wydarł bogom zaklęcia
najcudowniejszej alchemii
ramię zeusa wplótł w klerat
zgniół tajemniczy pieczęcie
w jądro wszechświata się wglębił
ten nie umiera

iskrą elektryczną przenika
w morze eteru
głos swój nakłada na płytę
owija ramieniem zwrotnika
stratosfery
dudni w maszynach skryty

maleńki drucik z metalu
rozpalił się w olbrzymią lunę
poprzez obie półkule globu
jeszcze huczą ogromne hale
by prąść wiecznie cienką życia strunę
lecz na to już nie znalazł sposobu

(nr 3, 1934 r.)

Włodzimierz Słobodnik

* * *

Cieniom Józia

Bratu mojemu śmierć odebrała
Dni wiosenne — trawy płomienne,
Bratu mojemu śmierć odebrała
Dni letnie — niebieskie fletnie.

Bratu mojemu śmierć odebrała
Dni jesiennie — ogrody ciemne,
Bratu mojemu śmierć odebrała
Dni zimowe — anioły śniegowe.

Mnie odebrała spokój,
Jasność przy boku,
Mnie odebrała spokój,
Pewność ziemskiego kroku.

Mnie odebrała ciszę,
Białe spokojne klawisze,
Mnie odebrała ciszę,
Księżycy przejrzyste klisze.

Spokój — czyste powietrze,
Spokój — światłość na wietrze,
Spokój — kolejność pór roku

Ciszę — drzewa uśpione,
Ciszę — serca zielone,
Ogrody, dąbrowy mnisze.

(nr 10, 1935 r.)

Tadeusz Hollender

Z WCZESNEGO DZIECIŃSTWA

Front przeszedł od miasteczka
na północ — bokiem...
Skakało prężne powietrze
do ociemniałych okien
na pierwszym piętrze.
(Wyższych domów w miasteczku nie było).

A pociski pękały daleko,
a pociski pękały z siłą...
— Ileż to lat liczyło dziecko,
liczące głośno wybuchy za sztreką,
którego matka z nieprzytomną twarzą
przy czarnym oknie grzmot chłonęła głuchy.

W ruinach domów zliczało miasteczko
nieśmiałym rankiem wyrwy i wybuchy.

I rankiem okno otworzył na przestrzał
krzyk w ciemnym jarze zburzonego rynku:
— soldat pędzony przez patrol niemiecki
podnosił ręce i z rykiem uciekał,
i długo, długo w ciemnym rynku wrzeszczał...
Na długi bagnet człowiek brał człowieka,
poły szynela jak skrzydła motyle.
— Motyl na szpilce...

...tak się było dzieckiem,
miało się w rękach kołby karabinów
z gontu i drutu, kiedyś „wartę” trzymał...
— A zawsze strasznie staje przed oczyma
soldat na rynku przeszyty... na wyłot.

(nr 6, 1935 r.)

Jarosław Iwaszkiewicz

SIERPIEŃ

Blask na drzewach jakiś chory
kuropatwy w kartofliskach
zaczęły się meteory
blisko blisko

Pani jesień przyjdzie znowu
znowu nie nie wytłumaczy
ani gwiazdy ani słowa
ani ziemi ani placu

Tylko patrzeć kiedy wrzasy
błotnym tryną ogniskiem
twoje losy moje losy
blisko blisko

Deszcze zmyją opalenie
liść opadnie nad kołyską
zapomnienie prześwietlenie
blisko blisko...

(nr 17-18, 1964 r.)

Józef Ozga-Michalski

DECYZJA

Jakby z nieba runął
wypełniony po ostatnie miejsce
samolot
jakby rozpedzony pociąg
skoczył w rzekę
jakbyśmy musieli sprzedać
księżyc na obcą planetę
jakby po słońcu
miało zostać
tylko wypalone ognisko
a my wrzucili w popiół
ostatnie kartofle
jakby tekneło od kopył
pastwisko
a czarny ogier
z wilkiem u szyi
pognał spłoszony w las.
Jakbyśmy się rodzili
wybierając placz
bo na końcu człowiek
się śmieje
jakbyśmy mieli spalić
własny dom
oszczędzając cudzy
bo tylko wtedy
nasz ocaleje.

(nr 17, 1962 r.)

Jan Koprowski

ZIEMIA

Kiedy widzę mojego ojca,
jak za plugiem idzie przez pole,
Jego twarz oparzą od słońca
i plecy, które bolą — —

Kiedy widzę matkę moją
zakrzętą od rana do nocy,
Jej twarz pełną niepokoju,
zmęczone oczy — —

Wtedy wiem: to ziemia wchłania
matczyn pot i trudy ojca
Ziemia — ziemia — otwarta rana,
swoja, nieobca.

Dla tej ziemi oddać wszystko.
Ziemia bierze — ziemia nie pyta.
Ziemia, ziemia — złota iskro,
w trudzie będziesz rosła i kwitła.

Ojciec odda całego siebie
nawet kości swoje w niej złoży.
Na jego sercu porośnie,
zachrześć zbożem.

Matka mgłą się rozsnuje po polu
ziemię rosa otuli słodko.
To nic, to nic, że ziemia boli.
Ziemia, ziemia — ojczyzny oko.

(nr 5-6, 1948 r.)

Anna Kamińska

PIERWSZA KULA

Kula, nim skrzydłem pożaru dach katedry zmiotła,
krążyła długo nad miastem w poprzek silnego profilu.
Prąd rzeki odbity w wietrze, zda się, odpychał ją dalej,
lecz szła naprzód nad stadion objęty pierścieniem dźwięni,
nad gimnazjów dziedzińce domy, które mijala ze wzgardą.
Jak obcy pasażer rzucony ze stacji na bruk
bierze dorożkę, nowemu miastu zagłada w twarz
i palcem pleców furmana dotyka stopą odpycha pojazd.
Lecz następne nie patrzy, nie baczą następne pociski,
odpada niebieski tynk, żółty tynk dym owija
w rżeniu nocy Stare Miasto płonie gorący rubin,
ludzie biegną, jak karty wyrwane z Talmudu,
których pełno nagle w rynsztokach i które ogień czyta
skwapliwym okiem, zbija w szerniale stopy
i suchym płucem w żarliwy pożaru dech chłonie.
Tak do dnia trwał, który i miejsce po wleżach napelnił
Wystarczy dnia na wszystkie szczyby i lęk.
I człowiek leży. Obok martwa natura:
rozsypane z torby żołnierskiej jabłka przy trupie.
Trzeba pozierać tamte pierwsze śmiertelne sielanki,
zanim jako zer szereg w beztreść Herby się stoczą.

(nr 2-3, 1946 r.)

Jan Gorec-Rosiński

ROZDARCIE LISTU

Oto pobojowisko czułości.
W barbarzyństwie dłoni
spełnia się sąd ostateczny.

(nr 3, 1960 r.)

Stanisław Grochowiak

„Wszedł Anioł smutku...” A ja im zadroszę
Ze do nich przychodził ten cielesny Anioł
Chyba na sobie
Miał komeżkę z płótna
Mąkę na twarzy
Miecz pokrzywy w dłoni

„Wszedł Anioł smutku...” No kiedyś przyjąć musiał
Mieł go w garści Sporą garść Anioła
Który nie można
Zbyć
Ani odrzucić
Raz zwiastowani Zyli w błogostanie

Nam pozostały
Tu ręka
Tam głowa
Kilka oddzielnych piór — z którego skrzydła?
Niepowiązane
Momenty rozpacz
A wstyd je każe chować w głąb mieszkania

(nr 17-18, 1964 r.)

Tadeusz Kubiak

LEŚNI LUDZIE

Dobre, leśne zwierzęta. One będą milczeć
Nie wyjawiają przed ludźmi miejsce naszych koczowisk.
Śmieszne — ufając mściwej drapieżności wilczej,
chytrości lisiej — nie móc ufać człowiekowi.

Oblaskawiony jeleń rogi jak ramiona
na szyję ci carzuci. I jemu bądź wierny.
Gdy nocą, z krwi upływu, samotny byś konał
dzieciol dzwoniłby w bukach — twój chłopski kościelny.

Dobre, leśne zwierzęta. Ptaki nieptochliwe.
Gdy śmierć od życia dzieli jeden krótki wystrzał —
pojmujesz wilczą mściwość. Serce bije żywiej.
gdy wzrok ci pada sarna, od dziewczyny bliższa.

1943

(nr 4, 1947)

Jan Szczawiej

GDY NIEBO KAMIENNE OD ŁUN

Niebo od łun kamienne. Nie niebo — zagłada.
Dom przez odmetę huku jak tratwa przenyła.
Okolica wymarła, rano jeszcze żywa.
Z świstem nad las pocisków nadlatują stada.

Nie milknie ryk baterij, grzmi wciąż kanonada.
Deszcz żelaza w dom bije i cepły odrywa.
Matko, niech nas ochrania twa modlitwa tkliva.
Nadchodzi kres wszystkiemu. Śmierć ku nam się skrada.

W głębi ciemnego schronu, bladzi, dłoń przy dłoni,
Kul świstu nasłuchując, co zgubę przynoszą.
Szepczemy dobre słowa: ty mnie, a ja tobie.

Może wszystko przemienie, miłość nas obroni,
Lecz jeśli śmierć sądzona — będzie też rozkosza...
Byłoby się nie rozstać. Byłoby w jednym grobie.

(nr 1, 1945 r.)

Tadeusz Różewicz

ŚCIGANY

Noc
wciąga mnie
w głąb.
Płynę w dionach jak w lodzi
Odpływam stąd.
Ukryty,
owinięty prześcieradłem,
drzęc nagi,
wyrzucony
na wierzch, na pościel
jak na groźny ład.

Twaz przyklejona do szyby
jak liść.

To są kroki
to dzwonek
to wyszła rozmowa
Uciekam od ściany do ściany
krzyczę szeptem:
jestem!

(nr 2-3, 1946 r.)

Kazimiera Illakowiczówna Z cyklu: Poznańskie szwargotki

BAROK

Kolumna wymawia poręczy,
ze zbytnio podobna do tęczy;
krata docina koturnie,
że krzywa i że tada chwila runie;
rozeta nogardza krata
za ozdoby jej — zute nadto.

Co u licha z tym barokiem,
że taki w nim niepokój?
Trochę tak — dajmy na to —
jest i u literatów.

(nr 10-12, 1958 r.)

Marian Grześczak

ŻYCIORYSY

trochę listów mi pozostało
plamił się w nich dawna miłość
teraz umarła
fotografie w jakimś starym albumie

ta poza ta poza
stare szpargaty są smutniejsze
niż monotonne blaty stolów
i więcej cienia rzucają
niż zapisane na nich wiersze

album karuzela zapomnianych
wiarczy

(nr 18, 1957 r.)

Arnold Slucki

Z wierszy tyszowieckich

ETIUDA BIOGRAFICZNA

Między wspomnieniem a fantazją,
Tyszowcami a Abchazją.

Między Warszawą a Taszkientem
ciała jak łachmany zmięte
po stworcach,
na długich ławach.

Tam mieszkał ze mną Petrarka,
Puszkין,
Słowacki,
Nawoi,
gwiazdy z długimi rękami,
piękne siostry moje,
czuwały nad moimi snami.

Tramwaje z amunicją
dzwoniły egzotycznym nocem,
tyszowieckim świerszczom,
moim warszawskim wierszom.

I tam pod niebem Wschodu
zahuczał i podał mi ton

wojenny megafon
jak dzwon
nad bezdomnością narodów.

(nr 17-18, 1964 r.)

Wilhelm Szewczyk

RZKA

Trzeszczą wiatry na rzecę, —
Iluż to już żołnierzy tamato się z prądem,
jak na krzyż nań upadał niejeden niemiecki blondyn,
pieśnią na dnie zarosły dawno powstańcze miecze,
pieśnią na dnie zarosły dawno powstańcze miecze,
rogatywki z szwarneho Gogolina,
pieśń

Pod Raciborzem wiatry, wody nie wyczerpia
ani bruk kędzierzyński tyle jej nie wessie,
ile jej trzeba, aby umyć z krwi ulice
w każdej wsi opolskiej i mieście.

Pokolenia umierały przed rozkwitem,
pieśń w siwy włos wplątana wiodła,
historia nie plomieniem, nie iskrą, nie tchem,
ale łzą na kościelne opadła szczyty,
i tak z łez rodziła się legenda.

Dość rzecę snów i mgieł i szumu
dość fal calujących wąty suchy brzeg,
przetętny, chmury mrocznych wspomnień.
Bóg na ziemi rozgorzał i rzekł:
Oto kraj ten wam otwarłem na nowo,
aby na nim sztandar wasz legł
Odro, Odro, strumieniu biednych i nieszczęśliwych,
tych słów stromych jak wieżycę posłuchaj:
wiatru, co spod fali dymiącej pokrywy
dzień podpala, pryska i bucha.

Sny jak pręty tamią się i gną,
zwyłol kasa, człowiek krwi zlorzęczy,
tylko wiersze nasze w świtach białych drżą,
na granicach w ziemię wbite miecze.

(nr 4, 1967 r.)

Henryk Pojark

Patrz
to powietrze łagodne
aż metodyjne
rozodrże stal
zmiażdży kość
z ciała plamę —

cóż wiemy o powietrzu?

piasek
to może przesypanie
plaża
albo lenność niekonsystencji —

cóż wiemy o piasku?
(beton i błysk
błysk i beton)

tedy bądź deszczem
bo to jest najpierwotniej

prawdzone —
w opadaniu betonu
żelaza i kości
jest wtórność
i zamysł

(nr 19, 1963 r.)

Władysław Machejek

NOCĄ Z LASU

Gdy tak po dolinach gusarzy, jak staz,
—dy w zbożu owijaki mam ze słomy,
wlem — — —
w snopy powiązano lipcowy czas,
kręcąc, jak powróciło, nocy niewybuchły płomień.

Po rosie piaski zwycięstwa dopłyną —
Wznosi się, pulsuje okret zwycięstwa,
wiatr i mgła.
Orna fala na dolinie
ściernisk dokłada na przesła.

Okolicę szum poderwał od półnagich pagórków.
Przynarował. Uciął u kamiennego pnia.
A ja za chwilę
oddam ciszę do krwawego dźwięku,
szukam wroga, jak straconego dnia.

A kiedy noc ze wznieścień ciemnych się odwija,
brzezi są dalekie i nie bystrą napływem,
przeszywa na krzyż łozina,
Ten szumiący od łak krzyż mię mija,
kładką do lasu go nazrywam.

(nr 1-4, 1955 r.)

Roman Bratny

Głucha jest pieśń i martwy obłok
nakrywa oczy nieczym pieniędz
powieki martwe. Miasto było,
a kamień nawet w nim uciechał
pod Twoją stopą. I tam grała
rzeka potężna jak łez góra
na ziemi mojej, która niosła
miłość człowieka pośród planet
sztywnych od mrozu. Ptaka głos
spada jak łza po Twoim policzku
— ale i temu jestem obcy
na ziemi obcej. Ślady gwiazd
posępne stygną w obcym niebie,
które kaleczy drut wysoki.
A miasto było, a w nim spojrzanie. Twoje. Ono
dawało murom ciężkim kształt
tak bardzo czuły wśród upału,
w którym powietrze nawet drży
jak dłoń, gdy dotknąć ma świętości.
To miasto było. A spojrzanie
Twoje dziś znaczy ślady gwiazd
nad ziemią obcą. Drut wysoki
jest ponad nami. Ziemia dala
żelazo ostre, które znaczy
piętnem okrutnym niebo słabych.
A było miasto. Ptaka głos
spada jak łza po Twoim policzku
na ziemi obcej...
Obóz jeńców, Lamsdorf 14.10.44 r.

(nr 6-7, 1966 r.)

Zygmunt Mikulski

SEN

Błądzą tracze zlepieni gęstą smolą nocy,
w każdym pociągnięciu ginie ciemna tęcza.
Stuk siekiery piłaki z echami układa.

Podcięty między stolem i złożeniem ręki,
kiedy księżyc trafiony, jak piła oddzwolęczał
jeszcze jeden do metra — w woń jodu upadam.

Horizont tamtej nocy upadł jeszcze bliżej.
Znow w marzeniu splatnym trafiam głowicę w sen.
Gwiazdka jedna na nitce, jak pajęczek pnie się.

Stanął wód wieczoru na drodze pod krzyżem.
Jeszcze dosłyszałem kiedy wchodził w sień:
gospodarz zamłast sosny wyciął szum o lesie.

(nr 6-7, 1966 r.)

Maria Józefacka

MISSOLUNGI

Śnią nam się missolungi
czy może kutno
lub glaz
w kazimierzowskich rozstajach
one nam w młodu pogodził
pogrążyć się nie dają
one nam w serce co dzień
gruzem goręczy

tak łatwo przeciwiać szarfą
parzywiejące dni kłęsk
przyklekając nad cudzą gangreną
głęboko
głęboko pod nami

latwo
z wiązankę naręczem
z apollinowym wieńcem
stanąc nad pogrzebanym
czyba że pamięć jak wrzód
wziera
dm nie zaznanych prywatnie
aż zęby zatniesz
i
podobnie zechcesz umierać
za naszą i waszą
dojrzałość

(nr 18, 1963 r.)

Welemir Chlebnikow

ODMOWA

Jest mi znacznie przyjemniej

*Patrzeć na gwiazdy,
Niż podpisywać wyrok śmierci.*

Jest mi znacznie przyjemniej,

*Gdy słyszysz głosy kwiatów
Jak „oto on! oto on!” szepcą.*

Wolę przez ogród przechodzić,

*Niż patrzeć na karabiny,
Co zabijają tych, którzy pragną
Mnie zabić zdradą.*

*I oto właśnie dlatego
Przenigdy
Nigdy nie będę władcą!*

Z rosyjskiego przełożył
Seweryn Pollak

(nr 4, 1933 r.)

KAMENA



LUBLIN
CHEEM
ROK VII

NR 8-10

(...) Rozumiemy (...) dobrze społeczne podłoże literatury związanej z życiem i opierającej się na nim; zdajemy sobie sprawę z tego, że żyjemy w epoce przelomowej, w okresie heroicznej walki klasy robotniczej i włościańskiej o nowe oblicze świata z konającym, lecz złośliwym jeszcze kapitalizmem, u postaciowanym w tym czy innym, jawnym czy zamaskowanym faszyzmie. I w tej walce stajemy bezwzględnie po lewej stronie barykady, nie tylko dlatego, że tak nam każą proste poczucie sprawiedliwości, lecz i z tej przyczyny, że ustrój kapitalistyczny, odegrawszy już swoją rolę, stał się przeżytkiem, lamującym w procesie twórczym rozwoju cywilizacji dopływ świeżych, zdrowych sił proletariatu. Stąd wynika stanowisko, jakie zajęliśmy po stłumieniu rewolucji austriackiej przez rząd Dollfussa, a któremu daliśmy wyraz w holdzie, złożonym bohaterstwu austriackiej klasy robotniczej w nr. 7 „Kamena”.

To właśnie rzeczowe ustosunkowanie się do współczesności dzisiejszej każe „Kamena”, abstrahując znowu od wszelkiej polityki, zwrócić specjalną uwagę na kulturę narodów słowiańskich, najbliższych nam etnicznie a w równej mierze zagrożonych przez apetyty faszystowsko-hitlerowskich rekinów, — narodów, mających mało przeszkód, dzielących je, za to wiele punktów stycznych — łączących. Przy tym kulturę tych narodów, młodą jeszcze, choć nie raz bardzo ciekawą poza nielicznymi wyjątkami, dotyczącymi naszych najbliższych sąsiadów — Rosjan i w mniejszym stopniu — Czechów, najmniej znamy. Dlatego „Kamena” z literatury niepolskiej najczęściej uwzględniała słowiańską, dając w dziewięciu numerach przekłady utworów bułgarskich, czeskich, słowackich, serbo-lużyckich, rosyjskich i ukraińskich.

(Ze „Spojrzenia wstecz”, nr 10, 1933 r.)

Borys Pasternak

GÓRY WRÓBLE

*Piers pod pocałunki jak pod ręcznik nadstaw!
Wszak nie wiek, nie zawsze bije lata zdrój.
Wszak nie noc za nocą ryk harmonii wzrasta,
wlokąc się w kurzawie jak nasz ból i znój.*

Starość, wiem — to straszne. O tym wciąż się

*Wiatr już gwiazd nie strząśnie dionią w nocy czas
Mówią ci — nie wierzysz, ląka nie ma twarz:
stawy serc nie mają, Bóg opuścił las.*

*Kołysz się więc, duszo! Pień się dzisiaj cała.
To południe świata, Chciwie okiem chłoń.
Widzisz, myśl w górze tworzą kipieli białą
chmur, dzięciolów, szyszek — żaru lepka toń.*

*Tutaj się krzyżują szyny tramwajowe.
Dalej drzew modlitwa. Dalej wara im!
Dalej jest niedziela. Tnąc gałązki piowe,
biegnie leśna dróżka po kobiercu swym.*

*Siejąc żar południe, nastrój świat wiośniany,
prosi las, by wierzyć — tu pokoju świat.
Tak go gaj wymyślił, tak go chce polana,
tak go leje na nas biały chmurek sad.*

Spolszczył z rosyjskiego
Kazimierz Andrzej Jaworski

(nr 3, 1933 r.)

Maksym Rylski

*W pokoju laur różowym zakwitł kwiatem,
i migdałowa kusi serce woń.
I znowu, znowu myśli me skrzydlate
w kraj leżą obcy na lazuru toń.*

*Niejeden kwiat tam jeszcze piękniej plonie,
Tak upaja winnych jagód sok,
i głębsze jeszcze tam rozkoszne wonie
doliną płyną przez wieczorny mrok.*

*A przy mnie ty. Wśród rozkwitniętych pęków
w milczeniu znaczysz swój na ścieżce ślad
i, zachwycona, trzymasz w drżącym ręku
nieznanych laurów nieznajomy kwiat.*

Spolszczył
Kazimierz Andrzej Jaworski

(nr 4, 1934 r.)

Maksim Tank

*Jak szybko burza gna majowa!
Chlusnęła z cebra tuż nad nami,
Nawet cię nie zdążyłem schować
Pod drzewo żywiliwych konarami.*

*Stoisz przede mną przemoknięta
Znajoma mi — i nieznajoma,
Spowita tęczą, gniewem spięta,
Wsluchana w chmurne brzmienie gromu.*

*Skowronki gaj nutami darzą
Weselnym skrzyplec wtórzac echu,
Zaczekaj! nie ocieraj twarzy,
Póki jest w blasku jak w uśmiechu.*

Z białoruskiego przełożył
Jerzy Pleśniarowicz

(nr 6, 1936 r.)

Franciszek Halas

NIC WIECEJ

*Powtarzam często Życie
a to jest tylko wątek bogiń losu
Przybędzie trochę ci gorączek
zmartwienia pożądanie
i więcej nic*

*Powtarzam często Sen
a to jest tylko węgielek co wypadł
Przybędzie trochę głodu
niedoczekania i zawodów
i więcej ani śdźbła*

*Powtarzam często Miłość
a to jest tylko miły tlen ciemności
Przybędzie trochę wstydu
pożłoty samotności
i więcej nic*

*Powtarzam często Śmierć
a to jest tylko stara szklarka
Przybędzie tuż nadziei
pożegnania
i więcej ani śdźbła*

*Powtarzam wciąż Poezja
a to jest tylko garstka orlich piór
Przybędzie kromka szczęścia
podziwu kornej skruchy
i więcej nic*

Z czeskiego przełożył
Kazimierz Andrzej Jaworski

(nr 1-3, 1933 r.)

Guillaume Apollinaire

ĆWICZENIE

*Szła wioską przyfrontową
Czterech młodych żołnierzy
Kurz wszystkich upudrował
od spodni do kołnierzy*

*Patrzyli w dal przymgloną
Gwarząc o swej przeszłości
I odwracali się w stronę
Z której zakaszłał pocisk*

*Nikt z nich jutra nie kusił
Każdy dni przeszłe liczył*

*Taka asceza być musi
Tych co na śmierć się ćwiczą*

(Calligrammes)

Z francuskiego przełożył
Kazimierz Andrzej Jaworski

(nr 24, 1933 r.)

Ernesto Che-Guevara

CANTO

Fidelowi

*Pójdźmy,
plonienny proroku jutrzeńki,
niezagrodzoną ścieżką, czy drogą nieznaną,
aby uwolnić zieloną jaszczurkę, którą tak kochasz.*

*Pójdźmy,
gromiąc nieszczęścia, złożymy przysięgę,
z twarzą pełną marsowych zbuntowanych gwiazd,
że osiągniemy tryumf lub każdy polegnie.*

*Gdy zabrzmi pierwszy wystrzał i cały las wstanie,
w odwiecznym strachu przecierając oczy,
wtedy u twego boku do walki stanie
cała nasza gromada.*

*Kiedy głos twój osiągnie wszystkie cztery wiatry:
reformę rolną, wolność, sprawiedliwość, chleb,
my myśląc tak samo staniemy do walki
przy twym boku.*

*I gdy skończy się wojna przeciwko tyranii
i nastanie dzień źródeł, chwila oczyszczenia,
przy tobie zostaniemy pewni, że przyjdzie ostatni
bój.*

*W dzień kiedy bestia zacznie lizać rany
zadane jej ostrzami nacjonalizacji,
przy twoim boku nasze serca staną,
będziemy z tobą.*

*Nie sądz, że te uczucia ugrzęzną po drodze
gdzieś w chwilejnych zaroślach słomianego ognia,
ale skala zapalu potrzebna jest jak karabin.*

*I tylko tego chcemy
Jeśli na naszej drodze wznieśnie się żelazo,
chcemy otrzymać całun z rąk płaczących kobiet,
żeby czymś przykryć kości partyzantów
i zmienić bieg historii.
Tylko tego chcemy*

Meksyk

Przełożył
Andrzej Tchórzewski

(nr 1, 1963 r.)

Szwagier szuka winnych

Edward Redliński

ZACZYNAJEMY, rzecz jasna od pogody. Po pierwszym kieliszku zazwyczaj bierzemy na tapetę katastrofy, toto-łotka, ewentualnie komentujemy obraz w telewizorze. Jeśli po drugim zaczepimy o miasto i „jego problemy”, oznacza to niechybnie, że wnet zajmujemy się swoimi zakładami pracy. A jest na co ponarzekać. Szwagier gasi telewizor i napelnia kieliszki: mój nalewka, swój sokiem owocowym o tym samym kolorze, co nalewka. Szwagier niepijący pozoruje. Co kieliszek to on trzeźwiejszy. Goście się dziwią: „O, ten ma głowę!”

Bo i ma. Do opowiadania, zwłaszcza o swoim zakładzie pracy. Przemilczamy, gdzie pracuje, po co człowieka narażać.

— Siedzimy sobie w hali — opowiada — palimy, podchodzi kierownik Z, staje i poklepuje żelówką o beton. „Dobrze tak sobie posiedzieć, co? Czy się stoi, czy się leży...” — gada niby obojętnie, a ręce mu się trzęsą. „A dobrze — odpowiadam — dobrze tak sobie posiedzieć...” A on w krzyk: „Czemu nie ładujecie?” A my: „A na co mamy ładować?” A on: „Na skodę”. Wyjaśniamy kierownikowi, że skodę już załadowaliśmy, ale kierownik N. z działu handlu przed godziną kazał rozładować „Co?” — oburza się kierownik Z. i biegnie do zastępcy dyrektora. Wraca, każe ładować. Ładujemy, ale towar się nie mieści. Kierownik wścieka się: „Gdzie kierownicy?” — krzyczy. Kierownicy dawno skończyli robotę i poszli do domu. Kierownik klnie pod nosem, biega po dziedzińcu i znów leci do zastępcy dyrektora. Zastępca wychodzi na schody, patrzy, patrzy i zgrzyta zębami: „Po co ja trzymam tych dwudziestu becwałów w planowaniu...” Potem wsiada do auta i jedzie do miasta ściągać kierowców. Przywozi dwóch, prosto z mieszkań. Po chwili zajeżdżają przed halę dwie następne ciężarówki. Ładujemy. „Czemu taka chapanina?” — pytam zastępcę. A on: „To stańcie na moim miejscu, zobaczmy, czy dacie radę!” Ja na to: „Ja stoję na takim stanowisku na jakim potrafię kierować...”

Tak, że szwagrem w nerwach nie ma żartów. — Dociałeś fajtlapie — stwierdzam z satysfak-

cją i konstatacją: — Znaczą koordynacja u was nawala. Poprawiło się coś po tej awanturze?

— Akurat. Dużo tam zastępca może. Przychodzi raz i pyta, czemu pracujemy bez rękawic ochronnych. Czemu wiadomo. Bo nie ma. „Co?” — wykrzykuje. — „To ja wam mówię, że jutro będą”. Uśmiechamy się. To samo obiecywał kierownik działu, nawet dwa razy, zresztą sam zastępca też, przed dwoma miesiącami. „Nie wierzyć?” — zapiera się zastępca. — „Mnie się wierzyć?” No i co, jeszcze raz zrobił z gęby cholewę. Do dziś pracujemy gołymi rękami.

— Może zakładu nie stać na rękawice? — Taka rzecz kosztuje... — zastanawiam się głośno.

— Nie stać... Mówię raz zastępcy dyrektora: „Dziś rano wyrzuciłem na śmietnik dwadzieścia tysięcy złotych”. Zastępca jak nie podkoczy: „Nie może być — powiada — dwadzieścia tysięcy?”. Tłumaczę mu jak dziecku, że surowca (zaszyfrujemy go literą „x”) znowu nie sprzedaliśmy, pójdzie na grzebią po 70 groszy. Na każdym kilogramie straciliśmy po 3 złote. Sześć tysięcy kilogramów po trzy złote... Słyszac to zastępca z ugią macha ręką. „E tam, myślałem, że coś poważniejszego...”

Mamy trzy wagi, a wagowych dwóch. Łatają w kółko od wagi do wagi. Żeby obsłużyć trzecią zmianę, zostają po godzinach. Płaci się im wtedy podwójnie. Godziny ponadobowiązkowe kosztują w sumie więcej niż trzeci pracownik. Ale trzeciego pracownika nie angażuje się. Dlaczego? — Nikt nie wie.

— Może brak chętnych do pracy? — pytam bez przekonania.

Szwagier spogląda na mnie jak na cudzoziemca.

— Organizacja pracy — mówię — Jaki pan, taki

kręć.

Szwagier zastanawia się.

— To druga strona medalu — przyznaje. — U nas w zakładzie robotnicy specjalnie się nie wysilają. „Dobrze, że w ogóle za taką forszę robimy” — mówią przy papierosku. Niby racja. Ale racje można odwrócić. Można odpowiedzieć: I tak dużo forsy jak za taką robotę.

Właśnie, jak to jest: praca za pieniądze, czy pieniądze za pracę? Co najpierw: praca czy pienią-

dze? Tak samo, weźmy, każdy narzeka na pracę innych instytucji. Znaczą się, ja klnę na kogoś, a ktoś klnie na mnie.

Szwagier uśmiecha się smętnie nad soczkiem.

— Wchodzę ja do hali, godzina dziesiąta, pala się jarzeniówki. Ludzie wchodzi, wychodzi i nie. A kontakt przy drzwiach. Pewnie, że zgasiłem. Przechodził majster. „Tu, uważaj — pokłiwa — uważaj, bo cię awansują za gospodarność” — i prychnął śmiechem. Ktoś wzrusza ramionami. To jeszcze nie. Pracujemy w fartuchach. Kolega ze zmiany nie lubi skarpet. Nosł onuce. Gdy mu się pobrudzą, to ślacz polę z fartucha na nowe onuce. Nikt nie kontroluje, fartuchy po pracy rzuca się na stos, idą do pralni. Raz przemilczałem jego barbarzyństwo, drugi raz, wreszcie mówię: „Człowieku, ty w Boga wierzysz?” — „A bo co?” „Gdzie ty masz rozum?” A ten wariat poprawia onuce i nie. Zamaję go w gębę, czy co, myślę, jak tu inaczej do chama przemówić? A on zasnurował kamazę, przystępna sobie i niesie stare szmaty do kubła. Ledwie wrzucił, zjawia się kierownik. A ten podchodzi do mnie i drwi: „No, powiedz kierownikowi co wiesz, może cie za to awansują. Czemu nie mówisz, apostole?”

Tu szwagier przerwał opowiadanie i wychylił dwa kieliszki jeden po drugim. Oczywiście soczku.

— Te historie z ładunkiem i rozładunkiem powtarzają się, nieraz zostajemy po godzinach nawet i do drugiej w nocy. Wracać trzeba na pedałach, bo autobusy o tej porze nie kursują. Wkurzyliśmy się wreszcie takim balaganem. Nie ma co, robimy drakę, idziemy do zastępcy. Jeden z nas, Lewicki, mówi, co i jak. A zastępca zaraz do niego: „Ej, wy, Lewicki, a wy co tak w krawaciku przy transportujecie? No, no. Alegancik...” Wtedy ja na to: „Co kto lubi, panie dyrektorze, tu krawat nie ma nic do rzeczy”. Zastępca stropił się, poprawił sobie kołnierzyk — a prawdę mówiąc był niebardzo doprasowany — zakreślił się koło biurka i powiada: „No dobrze, to chodźmy do magazynu”. Przechodzimy, zastępca wskazuje palcem rozsypaną s. i mówi: „A to co?” Potem wskazuje palcem na rozwaloną skrzynię, potem na naddarty fartuch, potem pyta, gdzie Wójcik. Wójcik urwał się wcześniej ze względu na chrzciny. Stoimy, jak zamurowani, ani słowa. Nie ma co, zaryknął nam gęby. Popatrzył, popatrzył i poszedł.

— No i co, poprawiło się z tymi wozami? — pytam.

— Akurat. Po staremu balagan

— No, a w waszym magazynie?

— Też...

Zamilkliśmy obydwaj. Szwagier rozlał ostatki. Co tu powiedzieć? Nacisnąłem włącznik telewizora. Spiewał Łazuka. Ależ komik z tego Łazuki, niech go kule biją!

nr 15, 1987 r.

ROZGLĄDAM się. Szukam Sewera. Siedzi daleko, pod tylną ścianą. Wzrusza ramionami, coś kreśli palcami w powietrzu. Czabak i Ksantypa rozdają ostemplowane arkusze.

— Nazwisko pod pieczęcią — powtarzają każdemu z osobna.

Dyrektor w ciemnym ubraniu. Namaszczony. Lubi celebry. Krąży dookoła stołu. Czeka.

— Czy już? Wszyscy mają papier?

No, teraz wreszcie sięgnie po tę teczkę.

A jakże. Jeszcze coś. Instrukcja materiałna. Nikt nie słucha. Znamy już ją niemal na pamięć. Dookoła Wójtek. Żeby nie ściągać. Za ściąganie usunięcie z sali, pozbawienie prawa składania egzaminu. Głos dyrektora brzmi ostrzegawczo. Nie przelewki znaczy. Wszystko jedno. Kości są rzucone. Włęcz gdzie ma się podziąć kartki, notatki, misternie sklejone wąskie pasemka cienkiego papieru?

Nareszcie. Dyrektor spogląda na zegarek. My również.

Ręka w białym mankietcie zapiętym srebrną spinką wędruje po cienkiej tekturowej teźce. Za chwilę wszystkie oczy są już utkwione w niebieskiej zakładowej kopercie. Dyrektor ogląda ją ze wszystkich stron. Waży w rękach. Wyciąga w kierunku obu asystentów. Czabak dotyka ostrożnie, końcami palców. Ksantypa z daleka kiwa głową. Ze niby widzi, iż pieczęcie są nieknięte. Wszystko w najlepszym porządku. Po chwili koperta z czerwonymi plackami laku miga nam przed oczami. Też możemy sobie sprawdzić, że wszystko OK. Możemy, ale nie mamy ochoty. Za późno. Teraz? Przed, do stu diabłów.

Dyrektor sięga po duże, prawie krawieckie nożyczki. Podnosi kopertę, patrzy pilnie pod światło, ślacz i na stół prezydencki wypada nleżduża kartka. Przeszajemy oddychać. Dyrektor rusza wargami, jeszcze raz i znowu. Kiwa głową. Czabak też, tuż, sapie tak głośno, że papier w dyrektorskich rękach zaczyna drżeć. Ksantypa w ogóle nie patrzy, daje nam porozumiewawcze znaki, trzyma kieluکی przy uszach i podobną jest do zajęczka, któremu nalożono słuchawki.

Morowa babka ta Ksantypa. Swoja.

Dyrektor chrząka. Czyta raz, drugi. Czabak zapisuje na tablicy. Nie idzie

mu. Krzywo. Ściera, zaczyna na nowo. Dyrektor obserwuje, marszczy czoło.

— Najważniejsza rzecz, żeby nie zrobić błędu w tytule, wtedy już i święty Boże nie pomoże. Koniec — słyszę ostatnie, namaszczające ostrzeżenie profesora.

Łatwo powiedzieć. W zdenerwowaniu wszystko może się zdarzyć. Podobno w rolniczej sam profesor napisał pszenica przez rz. Spozstrzegł się oczywiście i nikt mu nie miał tego za złe. Ale byk był!

Namyslam się nad tematem. Cóż? Dużego wyboru nie dają. Jeden z trzech. Na każdy coś się napisze. Tyle

łat. Muszą przecież coś zapożyczyć z poprzednich. Literatury by nie starczyło. Kochanowski? Pozytywiści? Hu. Biorę ten trzeci, wolny. Podobno tych od wolnych tematów wyciskają później na ustnym. Co tam. Do ustnego jeszcze dwa tygodnie.

Profesor nachyla się nade mną. Mdy zapach koloński wody.

— Wybrałeś?

— Tak jest. Trzeci.

Twarz nieprzenikniona. Czyżby spodziwiał się po mnie czego innego?

— Pieć godzin — przypomina dyrektor. — Spokojnie. Czasu dużo. Tematy łatwe, znane, opracowane.

Diabła tam. Za mną i przede mną chłopcy z jedenastej B. Kundzi nie wiadać. Chwała Bogu.

„Temat jak rzeka”. O kolegach, o mnie. O młodzieży, tej współczesnej, o jej idealach, perspektywach. Przez chwilę, przez ułamek sekundy mam pokusę. Napisać by tak o Kiki, o naszych wyprawach, o przygodach. Chociażby o tej z dziesiątej z Lapielkim. Też ważne, nie? Nie mnie już z nim nie łączę, nie uczy w jedenastej. Nie łączę? To może dzieli? Na balu maturalnym oddam i poproszę, żeby zwrócił proboszczowi.

Dlaczego nigdy ze mną ani słówka, dlaczego unikal?

Stop. Nie pora na takie rozmyślenia. Jeszcze kilkanaście dni i trzeba będzie samemu wszystkie sprawy, wszystko do końca.

„Szkoło, szkolo, gdy cię wspomnę, oczy mam pełne łez”. Lecz?

Pisze się. Nawet dość gładko. Jest i „Oda” i „Orla tych lotów potęgą, jako piorun twoje ramię”. I że marzenia stały się rzeczywistością. Ze kosmos stoi otworem. I o tej rzeczywistości szeroko, że dziś każdy może się uczyć. że epoka Janków i Antków dawno przebrzmiała, że będzie coraz lepiej i „gdy

MATURA

Waldemar Babinicz

by przyszli podpalić dom”, to my „bagnet na bron”. Ale nie przyjdą. Nie osmielią się.

Przez przekore jedynie. Może to jeszcze zmienić, usunąć. Brudnopis przecież. Ale wstawiam trzy zdania. Ze te hasła nie zmieniają się, że na miasto, w której stoi czapla w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym to samo. O piorunie i o ramieniu. Jakże? Przecież słowa narodowego wieszczą. Nie mieliśmy ich za wiele. Trzech. I to tylko dwóch postępowych. Ten trzeci wsteczny. A w naszej epoce jeszcze się nie narodził. Może jest między nami? Tak przynajmniej mówi rokrocznie pan minister na uroczystym otwarciu roku szkolnego. Wierzymy na słowa. Profesorowie mnie. Mają lepsze rozeznanie. Ale taki Kraszewski. Może się narodził?

Poetów cała brygada. Na dwóch stronnicach zeszytu, jeden po drugim. Słupiek, aż miło. Sam Czabak za głowę się złapał, jak zaczęliśmy wypisywać z gazet i czasopism.

Jeszcze coś z Asnyka. Bo przecież Czabak, wiadomo. Nie przebaczyłby. Ze każda epoka ma swoje własne cele. To chyba wszystko. Panu Bogu ogarek i diabłu świecek. Koniec. Przepisywać? Trzeba się rozejrzeć jak inni. Smarują,

aż piszczy. Sewer chyba skończył. Bodej czy nie poprawia czyjejs pracy.

— Ile do końca?

Kieram na pytającego. Dawno jak zdjął marynarkę, rozpiął koszulę, po strumyczkiem ścieka po twarzy.

— Jeszcze dwie godziny. Masz czas.

Westchnienie. — Skończyłeś?

Nie odpowiadam. Po co drażnić? Szukam Miśka. Karola. Smarują. Z miła poznaje. że wybrał o Kochanowskim.

Panienci grzebią w różnych częściach garderoby. Szeleszczą karteczkami. Czy nie za głośno.

Drzwi skrzypią.

— Czy można, panie dyrektorze?

Dyrektor biegnie drobnym kroczkiem, rzuca nam ostrzegawcze spojrzenia.

— Proszę spokojnie. Otrzymacie śniadanie.

Pani z komitetu wchodzi ceremonialnie, z szykiem, szeleszczą sukienki. Tace, filiżanki, kanapki.

— Proszę nie wstawać, pozostać na swoich miejscach. Panie same podadzą. Podają. Kawa? Herbata? Proszę bardzo. Szyńka? Jajko? Jest kawałek tortu. Własnej roboty.

Przy stole prezydenckim maszyna czarnej, ciastka, papierosy.

Przewodniczący komisji jest pochłonięty nalewaniem. Każdy ma swoje słabości. Wiadomo, że dyrektor to kowalczak. W Olszowie autorytet, jak dotąd, jedyny.

Chwila odprezenta. Pośpieszna wymiana sądów. Krótkie, rzeczowe informacje. Tylko daty, nazwy miejscowości, wątpliwości natury ortograficznej. Zresztą, jak się później okaże, nie rozstrzygnięte.

Tamel przy stole zapisują bez przerwy i wszystko. Ze ten a ten wyszedł o jedenastej zero trzy i wrocil o jedenastej zero dziewięć. Rzeczywiście wyłączenie za potrzebą. Nic innego nie można w tak krótkim czasie.

Oddajemy prace przed terminem. Chwila odprezenta przed czapłą.

Z dziesiątej wypytują o szczegóły. Na tych z dziesiątej spoglądamy pobłażliwie. Z wyjątkiem oczywiście jednej twarzy. Jedynej.

Fragment powieści „Obecny”

nr 11, 1987 r.

Marek Adam Jaworski

LOTNIK AMERYKAŃSKI

Jestem jak ślepiec
zanurzony w nocy,
morderca na rockach
chroniony przez mundur.

Utełżony między wiekami,
zawieszony między gwiazdą a ziemią
niewolnik atomu i napalmu
z sercem cięższym niż mosiądz.

Automat ręk naciśnie dźwignię,
wymknie się śmierć w pigułkach
made in USA.

Domy skulą się nagie,
ludzi przyciemnia ziemia.
Rzeki wysuszy ogień,
ulicami popłynie napalm.

„Dziadku — spytaj wnuki
patrząc na pierś z orderami —
pędziłeś w przestworzach na linie,
złębiałeś kraterzy Księżyca?”

Odpowiem:
W kraterzy zamieniałem miasta,
ryć nasyciałem trucizną,
dzieci wydzierałem światłu,
kołyski wkładałem do trumny.

Odpowiem,
jeśli błysk nie oślepi,
alumirowy ptak nie pęknie,
ciemność nie ogłuszy,
obcy cementarz ciała nie wchłonie.

Odpowiem,
jeśli jeszcze ktoś pytać będzie,
jeśli Ziemia
nie stanie się martwym ogromem.

(nr 16, 1966 r.)

JAK zginął „Hubal”?

Zasadniczo bliźniaki do tej pory tylko trzy obszerniejsze i bardziej znane pisane relacje, dotyczące interesujących nas wydarzeń. Przede wszystkim rozdział „Śmierć Hubala” w „Hubalczykach” Wańkowicza, artykuł Jerzego Piórkowskiego — „Generalowie i żołnierze” oraz artykuł Marka Szymańskiego — „Ostatnia droga majora”. Jednak Szymański w starciu pod Anielinem udziału nie brał, opis potyczki ogranicza do dziesięciu zdań. Wańkowicz w swej zbeletryzowanej opowieści opiera się zaś głównie na relacji uczestnika walki, wachmistrza Rodziewicza, którego spotkał we Włoszech i — prawdopodobnie — Józefa Świdry. Oto w skrócie opis wypadków tak, jak oni je widzieli:

Z Wólki Kuligowskiej, gdzie oddział obozował jeszcze 28–29 kwietnia, „hubalczyki”, starając się uciec Niemcom, przemykają się do niedalekiej wsi Ponięka, a następnie zajądają o osadę Fryszka. Wszędzie jednak ich patrole natykają się na nieprzyjaciela. Z Fryszki miejscowy młynarz-przewodnik prowadzi ich do Anielina. Jest świt 30 kwietnia. W chwili po wystawieniu posterunków do majora podbiega kapral „Zemsta” z karabinem wyrwanym niemieckiemu żołnierzowi, który pojawił się nagle zza drzew. W tym momencie grzmia niemieckie karabiny. „Hubal” podbiega do drzemającego Rodziewicza i krzyczy: „Niemcy!” Rodziewicz zrywa się. Wokół bezładna strzelanina, zamieszanie. Słyszony jeszcze głos majora — już z innego miejsca — „Alicki do mnie!!!”. Po chwili wachmistrz spotyka „Bema” od którego dowiaduje się, że... „W majora uderzyła salwa z odległości siedmiu—ośmiu metrów. Drgnął, pokażał na krzaki, wpadł w nie z „Dołęgą” i Tadekiem (Madejem). Pewno podążył za Pilicę na umówiony punkt zborny” — pisze Wańkowicz. Ten punkt zborny to dom sołtysa Wojakowskiego we wsi Rzeczyca. Po kilku godzinach zbierają

Z CYKLU: TROPEM LUDZI MAJORA HUBALA

ŚMIERĆ DOWÓDCY

Mirosław Derecki



Zdjęcie zrobione przez Niemców — wkrótce po śmierci „Hubala” rannym 30 kwietnia 1940 r. na podwórzu zagrody Laskowskich we wsi Anielin. W kilka dni później ZWZ był już w posiadaniu oddziału.

Zbiory i reprodukcja Jan Sekulak

się tutaj resztki oddziału. Przybywa też Madej. „(...) Tadek mówi, że z majorem i „Dołęgą” oraz trzema końmi znaleźli się na maciupeńskiej łąsinie. Major właśnie usiłował włożyć nogę w strzemie, koń mu się bardzo kręcił, kiedy dostali salwę z drugiej strony. Tadek skoczył kilka kroków wstecz, na dawne miejsce, ale tam byli Niemcy. Pełną dołem młodych chojaków wylabudali się z obławy (...).”

Tak więc nikt z opowiadających nie widział majora padającego, nikt nie stwierdził dokładnie, że został on trafiony. Rodziewicz, a za nim Wańkowicz, powtarzają relację „Bema”, z której można by wnioskować, że „Hubal” został trafiony już w momencie, gdy wpa-

dał w krzaki z Tadekiem Madejem i „Dołęgą”. A znowu Tadek opowiada Rodziewiczowi, że w chwilę potem major usiłował wskoczyć na konia, gdy zabrzmiały strzały, i wtedy na zawsze stracił go z oczu. Opis ostatnich czy przedostatnich chwil majora opiera się więc w „Hubalczykach” na relacjach osób trzecich.

NOTES KAMENY

CZYTAŁEM kiedyś artykuł jednego ze znanych zachodnich ekspertów wojskowych, który porównywał potencjał militarny Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych. Wzrok przebiegał po nazwach najbardziej śmiertelnych sprężu jak po tabeli ligi piłkarskiej. Bombowce strategiczne, łodzie podwodne, podziemne wyrzutnie raketowe, kilotony, megatony... Defilada znanych określeń, nie wywołująca żadnego już skojarzenia. Żadnej reakcji. W pewnej chwili poczułem, że gdzieś przekroczona została jakaś granica. Przeczytałem to zdanie jeszcze raz: Nagromadzone przez Stany Zjednoczone pociski mogą zniszczyć świat 850-krotnie.

Chwila zastanowienia: Co znaczy zniszczyć świat? Można odpowiedzieć, że oznacza to zlikwidowanie życia na ziemi, zburzenie siedzib ludzkich, spustoszenie totalne i całkowite. Można powiedzieć, ale nie można sobie tego wyobrazić. Wystarczy ten świat zniszczyć jeden jedyny raz żeby zrobić to, co jest niepojęte. Co oznacza więc możliwość zniszczenia świata 1650-krotnie? Abstrakcja. Makabryczna abstrakcja.

Przyzwyczajenie jest wrogiem wrażliwości. Kiedyś słowo i peryt wywoływało skurcz strachu. Potem słowo napalm. Potem słowo atom. Potem... w arsenalach świata gromadziły się zapasy coraz doskonalszych środków ludobójczych. Niektóre z nich wypróbowano, inne dotąd kryją swoją potęgę. Niektóre pokazują się w działaniu, na fotografiach poparzonego napalmem Wietnamczyka czy Jordańczyka, inne czekają na swój dzień, swoją godzinę.

Niedawno ukazała się książka za tytułowaną jak zbiór przemówień działaczy ruchu pokojowego: „O ile nie nastanie pokój”. Istotnie, jest to zbiór prac ludzi, którzy wprowadzili nie są działaczami ruchu pokoju, ale mogą równie wiele powiedzieć o potrzebie obrony pokoju. W książce tej naukowcy kilkunastu krajów informują opinię publiczną o rodzajach broni, jakimi w najbliższym czasie może „uszczęśliwić” świat rozwijająca się nauka.

Posłuchajmy, jakie perspektywy makabry rysują się przed ludzkością. BRŃ BAKTERIOLOGICZNA. Jest ona dostępna praktycznie dla każdego narodu. Wehdożą tu w rachubę mikroorganizmy, które powodują choroby u ludzi, zwierząt i roślin jadalnych. Używać się ich będzie w postaci bomby bakteriologicznej, wytwarzającej chmurę infekcyjną. Obrona przed takim atakiem będzie prawie niemożliwa. Np. w wypadku zrzucenia przez samolot bomby wytwarzającej zarazę płucną czas przeciwdziałania ograniczony będzie do 24 godzin.

Perspektywy makabry

BRŃ PSYCHICZNA. Istnieje już szeroki wachlarz trucizn psychicznych. Jedna tona LDS może wywołać u wszystkich mieszkańców Londynu schizofrenię. Jest to jednak brŃ już tak przestarzała, jak np. gaz trujący. Uczenni są podobno na tropie środka chemicznego, którego na zatrucie całej ludzkości wystarczy tylko 10 kilogramów.

BRŃ METEOROLOGICZNA I SEJSMOLOGICZNA. W laboratoriach uczonych powstały już plany wykorzystania naturalnych procesów przyrodniczych do celów wojskowych. Przewiduje się możliwość stworzenia przy pomocy pocisku wyłomu w warstwie ozonu, która chroni życie na ziemi przed zabójczym działaniem ultrafioletowego promieniowania. W przyszłej wojnie planuje się wywoływanie cyklonów morskich przez poruszenie luźnego materiału krawędzi szelfu kontynentalnego. Zapewne istnieje będzie możliwość zdalnego spowodowania trzęsień ziemi, zdolnych zmieść z powierzchni wszystkie największe miasta. Najbardziej drastycznym posunięciem wojskowym nazywają uczeni plany wywołania nowego zlodowacenia powierzchni ziemi drogą ingerencji w obszary lodowe Antarktydy.

NOWE PRZENOSNIKI. Meredith Thring, wybitny autorytet w dziedzinie maszyn samoczynnie działających, spodziewa się, że dojdzie do skonstruowania robotów — piechurów kontrolowanych przez wmontowane komputery. Patrolowałyby one określone obszary i mogłyby zabić każdego człowieka, który by na nie

wtargnął. Thring rozważa również wizję samoczynnie poruszających się bomb. Byłby to obiekt nie do zdobycia, posuwający się ku obranemu celowi, omijający przeszkody i transportujący bomby wodorowe w dowolnym kierunku, do bram każdej stolicy świata. Tak skonstruowany obiekt mógłby zostać powstrzymany jedynie przy użyciu broni jądrowej, gdy znalazłby się on na terytorium nieprzyjaciela. W tej sytuacji obrona byłaby tak samo niszcząca jak atak.

Na koniec warto przytoczyć wypowiedź słynnego fizyka amerykańskiego, dr Davida Inglisa, który

Józef Barecki

stwierdził, że istnieje praktyczna możliwość skonstruowania bomby jądrowej (z kilku rozszczepialnych bomb kobaltowych), zdolnej zniszczyć całkowicie życie na ziemi.

Jakie słowo może wyrazić obawę o przyszłość naszej cywilizacji w obliczu tego zestawienia środków zaopatrzenia? Autorzy książki pytają, czy nauka jest przekleństwem. I odpowiadają: Musimy wyeliminować albo naukę, albo wojnę. Myślę, że odpowiedź nie jest trafna. Musimy wyeliminować te siły, które wpręgają naukę w służbę złej sprawie, które powodują, że zagrożone narody, chcąc utrzymać swe bezpieczeństwo, muszą również wykorzystywać naukę dla celów wojskowych.

Niedawno świat obchodził dwudziestą piątą rocznicę skonstruowania cyklotronu. Czcił ją mówiąc o Hiroszimie i Nagasaki. A przecież energia atomowa mogłaby być błogosławieństwem dla świata. Czy będzie?

Książka „O ile nie nastanie pokój” sygnalizuje niebezpieczeństwo, z jakiego nie zdajemy sobie sprawy. Być może, że w niedalekiej już przyszłości przestaniemy reagować na dźwięk słów: bomba atomowa. Być może, że już to robimy. Skurcz strachu wywołuje dziś u nas nowa brŃ: bomba bakteriologiczna. Potem uczyli to nazwa innej broni: pocisk ozonowy. Potem...

Losy człowieka mogą się wymknąć z rąk człowieka. Jeżeli nie nastanie pokój.

WEJŚCIE w sprawę nieco liryczne, ale i potrzebne w końcu. Zatem — prawdę mówiąc — swego czasu niejedną godzinę i niejedną dzień przelazłem z Leszkiem Płażewskim po stołecznym Krakowskim Przedmieściu, Nowym Świecie i okolicach. Było to już po debiutanckim tomie opowiadań Płażewskiego — „Ktoś za drzwiami” (1964), a w przeddzień drugiego zbiorku Leszka — „Cudowne dzieci” (1967). Było to więc na przełomie roku 66 w 67, kiedy cały czas usiłowałem robić doktorat polonistyczny w IBL-u, wierząc jeszcze w ostateczną prawomocność badań strukturalnych tekstu. Ale zarazem powoli tracąc owa „wiarę”. I kto wie, jak dużą w tym miało rolę, a w każdym razie czy nie miało w tym swej roli moje podglądanie literatury niejako od środka? Podglądanie konkretnej pisarskiej sprawy, a zatem ludzkiej sprawy, która za konkretnymi tekstami zawsze twardo stoi, lecz nie zawsze się w tych tekstach sprawdzalnie objawia.

Płażewski miał wówczas trzydziestkę (ja — niewiele mniej). Płażewski miał za sobą szereg rozmaitych robót — jako pracownik terenowych ekip geodezyjnych, jako siła niewykwalifikowana na budowach, jako tokarz, ślusarz, magazynier w fabrykach, jako kreslarz, no i cztery lata boksu w warszawskiej „Polonii”. Niespokojne szukanie swego miejsca w świecie, swego azylu, bezpośrednie pilne poznawanie życia ludzi zwykłych, sprawdzanie siebie, walka z własną słabością? W każdym razie może właśnie dlatego „oficjalnie” zaczął wchodzić do literatury dość późno, debiutując w „Almanachu Młodych” 1960/61 opowiadaniem „Robota z telefonem”, choć pisał od 58 roku. Ale kiedyś się spotkali na Krakowskim. Leszek już raczej wiedział, że w literaturze przyjdzie mu zostać, aczkolwiek nie jestem pewien, czy było to przeświadczenie całkowicie racjonalizowane. Owo przeświadczenie o trwałym przypisaniu siebie do czegośkolwiek. Bądź co bądź jednak zanim Płażewski zjawił się na szlaku młodych pisarzy warszawskich, zebrał doświadczenia, które nie wszystkim z nich były dane i które sprawiają, że można mieć zaufanie przynajmniej do szeroko pojętej faktografii jego utworów, aczkolwiek faktografia ta nie całkiem wesoła.

Chadzaliśmy więc po „Kraku”, a jest to cała instytucja takie chodzenie. Można wypić wódkę w barku albo popaplać się na przechodniów, czy lustrować wystawy, albo słuchać rozmów ludzkich, oglądać uczesane draki pijacków... Wszystko przynosił doraźne drobne satysfakcje, bo wszystko doznawane jest w oparciu o całkowitą swobodę dyspo-

A co z oficerem służbowym tego dnia — „Dołęga”, który prawie nie odstępował majora? Po dwudziestu dziewięciu latach „Dołęga” — Henryk Ossowski, re-
lacionował mi ówczesny tok wydarzeń w sposób następujący:

Kiedy oddział przechodził przez Anielin — dniało. We wsi cisza. Mijają ostatnią, pogrążoną we śnie, zagrodę Laskowskich, przejeżdżają przez pole, zatrzymują się w niskim, szorstkowanym zagajniku. Zajmują niewielkie polanki wśród gąszczy, łamią naręczą łapek sosnowych, robią z nich legowiska. „Dołęga” jest tego dnia oficerem służbowym. „Hubal” mówi do niego: „Tu nas nikt chyba nie znajdzie...”. „A jak nawet znajdzie — odpowiada adiutant — to i tak żywy z zagajnika nie wyjdzie”. Nie wiadomo dlaczego, może z tego powodu, że w ostatnich godzinach nie natakli się na Niemców, że przeszli spokojnie przez wieś, oddział ogarnia psychologia bezpieczeństwa. Rozlokowują się na swoich poślanach. „He posterunków?” — pyta „Dołęga”. „Zadnych” — odpowiada major. Ale „Dołęga” wystawia mimo to posterunek od strony wsi. Obejmuje go „Zemsta”.

„Dołęga” opuszcza majora, przechodzi na pobliską, „swoją” polankę. Zaczyna drzemać. Z półsnu wydziera go lupotnóg. Otwiera oczy. Jest już jasno, wstaje słońce. Spośród sosenek wybiega „Zemsta”, w rękę trzyma karabin. „Panie podchorąży — Niemcy!” Karabin jest niemiecki. „Zemsta” stojąc na posterunku usłyszał naraz przed sobą ciche gwizdanie, po chwili ujrzał również jak on zaskoczony niemieckiego żołnierza. Miał szybszy refleks, wyrwał mu karabin i popędził do oficera służbowego... Jest jeszcze ciągle cicho. „Dołęga” zrywa się i biegnie na polankę majora. Major ma oczy otwarte. „Dołęga” przykłada, usiłuje przeniknąć wzrokiem cień pod gałęziami sosenek, dostrzega dwóch czolgających się ludzi. Jeden z nich ma oficerskie naramienniki. Podchorąży celuje do niego z pistoletu i jednocześnie powtarza słowa

„Zemsta”: „Panie majorze — Niemcy”. Słowa majora podnoszącego się z poślania: „Uważaj, nie postrzel swoich”.

W tym momencie „Dołęga” strzela do oficera. Ten podrywa się nagle, a potem pada na ziemię. Żołnierz skacze do przodu i z przykłąku strzela, mierząc w głowę „Dołęgi”. Kula nie trafia. „Hubal” okręca się wokół siebie, woła: „Heniek ratuj te czasy!” (z dokumentami oddziału), wpada w gęstwinę po drugiej stronie polanki, niknie adiutantowi z oczu. Pierwsza myśl, jaka przychodzi „Dołędze” do głowy: „Jak to, major daje dęba?” Przebiega na „swoją” polankę, gdzie jest podchorąży Swida z koźmi. Znowu na moment zapada cisza, wydaje się, jakby dwaj Niemcy znaleźli się w zagajniku przypadkowo. Biorą konie za cugle i razem ze Swidą wchodzi w głąb zagajnika w tym mniej więcej kierunku, w którym zniknął major. Nagle z tyłu dochodzi ich dość rzadka strzelanina, a oni sami od przodu nатыkają się na Niemców. Zamieszanie, gorączkowa wymiana strzałów. „Dołęga” dostaje kulę przez zapiętek buta, ale ześlizguje się ona po skórze. Niemcy znikają. Pojawia się kilku innych „hubalczyków”. „Co z majorem?” „Pojechał” — odpowiadają żołnierze. Nie czas na domysły, gdzie i dokąd. Najprawdopodobniej przedziera się z jakąś grupą ku Rzeczy, jak ustalono. Teraz strzelanina wydaje się przybierać na sile. Cała grupa wskakuje na konie, rozprasza się po lesie.

Tyle „Dołęga”. I tyle o okolicznościach, jakie doprowadziły do śmierci majora. Sedna prawdy nie dojdziemy już nigdy. Ale najprawdopodobniejsza wydaje się hipoteza, że „Hubal” otrzymał śmiertelną ranę zaraz po pierwszym wystrzale niemieckim. Trafiła go kula przeznaczona dla „Dołęgi”. Miał jeszcze tyle siły, żeby wpaść w zarośla, tam zapewne stracił przytomność i tam znaleźli go Niemcy. Skonał na podwórzu Laskowskich. (...)

(nr 5, 1969 r.)

Lublina portrety serdeczne

Zbigniew Pędziński

TRUDNO właściwie pochylić się nad tą książką bez uparcie wciskających się w jej lekturę własnych wspomnień. Od lipca do grudnia 1944 r. Lublin był obecny w myślach i uczuciach każdego Polaka w kraju i poza jego granicami, otaczany mgiełką sentymentu i wzruszenia lub (wiele rzadziej) opryskiwany jadowitą śliną nienawiści. Wszyscyśmy przecież (ja również jako gimnazjalny sztubak w niedalekich stosunkowo Siedlcach) rozumieli, że w Lublinie — bez cudzysłowu: stołecznym — rodzi się nowa Polska, co do której teraźniejszego i przyszłego kształtu można snuć najrozmaitsze sądy i horoskopy, ale jakiej z historii, i to we wszystkich jej przekrojach, od politycznego do kulturalnego, wymazać już nie sposób. I dlatego wszystko, co się wówczas nie tylko w Lublinie działo, ale na Lublin składało: fakty, ulice, ludzie, domy — było dla każdego Polaka w tym pamiętnym roku 1944 bardzo istotne, ważne, cenne.

W gruncie rzeczy nie: było, ale ciągle i uparcie jest. Niewątpliwie „W stołecznym Lublinie” będzie kiedyś, pewnie już bardzo niedługo, dla dziejopisa początków Polski Ludowej cennym źródłem faktów, informacji, realiów tego okresu, których nie zanotował dokument, nie omówiła ówczesna publicystyka i prasa, ale ocalała od zapomnienia chwytliwa i czuła pamięć artysty, miłośnika i sługi kultury — z takich bowiem ludzi rekrutują się głównie współautorowie omawianej publikacji. Stąd wynika, przebijający może nadto od czasu do czasu, profesjonalizm wielu z tych wspomnień, ich zawężenie do kręgu spraw i ludzi najbliższych myśli i sercu pisarza, malarza, zbieracza narodowych pamiątek, organizatora życia kulturalnego. Ale przecież właśnie te sprawy i ludzie ostają się najtrwalej w czasie, pozostawiają ślady w literaturze i sztuce, apelują poprzez uroczą, częstokroć gawędziarską formę najtrafniej do wrażliwości, wyobraźni i wspomnień szerokiego kręgu czytelnika. Owe wspomnienia właśnie przywraca do egzystencji lektura tej książki, której treść, i ta zapisana na jej kartach, i ta dopisana przez rozbudzone, dopowiedziane wspomnienia czytelników, koncentruje się nie tyle w stołecznym, co w moim Lublinie — Lublinie każdego z nas. Trudno; do tych czasów sprzed piętnastu lat nie można i chyba nie należy wyrobić w sobie obiektywnego, historycznego i — powiedzmy szczerze — najeźdźcą nudnego i sztywnego stosunku i dystansu.

Dlatego bardzo dobrze się stało, że świadomi owego faktu byli i niektórzy współautorzy książki (jej część wypełniają bowiem fragmenty już opublikowane, przede wszystkim w czasopiśmie), i troskliwa, a mądra redaktorska całość — Maria Bechcysz-Rudnicka. Dla lakonicznych usystematyzowanego kośca faktów, wokół którego opłatają się poszczególne wspomnienia, dołączono na końcu tomu diariusz kulturalny, opracowany przez Zofię Matyaszewską, obejmujący okres od 23 lipca 1944 do 27 stycznia 1945. Ale najciekawiej odnajdywać te fakty na różnych stronicach książki, odbijające się coraz to w innych oczach, odmiennych temperamentach pisarskich, bogato zróżnicowanych wrażeniach i sentymentach.

Wszystkie jednak drogi owych wspomnień prowadzą niezmiennie do Lublina. I bardzo mało możemy znaleźć w tej książce stronic, na których Lublin nie byłby jakos, ale zawsze serdecznie sportretowany.

Tutaj właśnie należy się odpowiedź na pytanie, dlaczego tytuł tomu: „W stołecznym Lublinie” nie można jednak rozumieć wyłącznie w kategoriach żartobliwych. Dla tych pisarzy, artystów, działaczy kulturalnych, dla nas wszystkich zresztą, Lublin w roku 1944 był naprawdę stolicą, bez pomniejszającego akcentu ironii, narażającej czy nawet prowizoryczności. Jasne było dla wszystkich, że trwale tą stolicą nie będzie, że musi jej tytuł i funkcję oddać prędzej czy później Warszawa, ale że na owym — przywracając temu zaszarganemu wyrazowi jego dosłowne znaczenie — etapie drogi do Polski całkowicie — w sensie geograficznym — niepodległej tą stolicą być powinien i — co więcej — najzupełniej go dzien jest tak niemałego zaszczyci. Przymyślam, że dlatego właśnie, i to nie tylko w zebranych na kartach omawianej książki, wspomnieniach o Lublinie 1944 r. mimo dość częstych narzekania na najbardziej prozaiczne i powszechne trudności ówczesnego życia codziennego brak — najzupełniej słuszenie — najmniejszych nawet pretensji o nie do Lublina, miasta, które pełniło przyjęte na siebie obowiązki stolicy nie tylko do końca, ale grubo ponad własne, swoich domów, wic i mieszkańców, możliwości.

Ta ciepła, serdeczna atmosfera społa naprawdę zwarciła bogate w swej różnorodności fragmenty tomu, który osobliwie zaliczam do najlepszych, jakie czytałem, antologii wspomnień. Autorzy najzupełniej odmienni, ot chociażby Juliusz Kleiner i Jerzy Putrament albo Julian Przybóś i Jerzy Jurandot, tutaj jakos nie kłóca się ze sobą diametralnie różnymi sposobami widzenia rzeczywistości, środkami wypowiedzi, ale dopełniają się i uzupełniają wzajemnie wcale nie na sposób siłą czy żądzą efektu w wszelką cenę dopasowywanej układanki. Dzieją się nawet przedziwne metamorfozy: satyrycy tracą swoją jadowitość, zewili poeci przemawiają jasno i przejrzysto, nikną albo skrywają się głęboko antagonizmy i antypatie osobiste. Czy przypisać to łagodzącej dysonansie redakcji, czy sentymentalnej obojętności tematu — nie wiem; chyba jednemu i drugiemu po spole.

Wypada pochwalić szczęśliwe pomysły redakcyjne i edytorskie, które określone wyżej walory treści temu podkreślają i uwypuklają. Należy do nich zwłaszcza kompozycja „W stołecznym Lublinie”, bardzo zwarta i celowa, sensowna selekcja już opublikowanych (było ich przecież niemało!) wspomnień, przemyślany dobór specjalnie przygotowanego dla książki materiału, rozpoczęcie i zakończenie wspomniarskiego cyklu dobrze zharmonizowanym z nastrojem całości utworem poetyckim. No i jeszcze — last not least — niezrównane rysunki Jerzego Zaruby (jednego z współautorów książki), estetyczny układ graficzny, niezły papier — wszystko to pozwala żywić Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej, aby i dalsze jej książki były przekazywane do księgarń w podobnie starannej szacie edytorskiej.

Jeszcze jedno życzenie: aby „W stołecznym Lublinie” nie było czymś sporadycznym, wyjątkowym, ale rozpoczęło cykl wspomnień o Lublinie i ziemi lubelskiej i po 1944 roku i przed nim. Miasto i region, a zwłaszcza jego ludzie, zasługują jak najbardziej na pokazanie ich w całym swoim bogactwie krajowi i społeczeństwu, które przecież zawiązała Lubelszczyzna nie tylko pierwsze półrocze odrodzonej Polski...

(nr 13-20, 1969 r.)

Małe dotkliwe złudzenia

Maciej Podgórski

nowania sobą w obrębie konkretnych i niepowtarzalnych sytuacji. Drobnym autentyzm — jako poszukiwanie i odnajdywanie wartości ulamkowego przeżycia, jako tożsamość ze swoimi chwilowymi decyzjami. Ażyl starszawych Chłopców. Czasu obaj mieliśmy sporo. Trochę piwek wtedy udało się obalić. No i chodziło się, gadało. Głównie „nawijał” Leszek. Fabułka, które później z sympatią spotykałem w następnych jego książkach — zbiorze opowiadań „Szklany bokser” (1969) i powieści „Kilka jesiennych dni” (1970). Fabułka zresztą jak z poprzednich książek. Bo Plaźewski wytrwale pisze o tych swoich przedmiejskich chłopakach i dziewczynach, co do pierwszej roboty stają, pierwsze samodzielne kroki robią w świat, małe smutki i rozczarowania na nich czekają, a w ich wymiarze są to rozczarowania i smutki wielkie. O tych przedmiejskich ludziach, ciężko z codziennym losem się borykających. O nich wszystkich, którym niewiele się udaje. O „prawdziwym życiu”.

Leszek opowiadał więc, jak uczestniczył w życiu, jak podglądał życie, jakim je zobaczył, ja zaś podglądałem Leszka. A Plaźewski opowiada pierwszorzędnie. Czasem barwniejsze to i ostrzejsze, gdy mówi, niż gdy napisze. Ślad spontanicznej obawy, żeby nie dać prymatu „fraserskiej” refleksji nad rudymmentarnym doświadczeniem? Strach, że samo pisanie to „fraserstwo”? Ale jednak pisze... I dalej CHODZI po Krakowskim. Chyba w tej samej konwencji, co przedtem. Skąd jest bliżej na ów szlak — z przedmiejskich Włoch, gdzie całe lata kątem u babki rodzinej mieszkał w starej chałupie, czy z nowoczesnego locum na stołecznym Rakowie, które niedawno otrzymał? Problem nie tyle empiryczny, co kwestia pewnej postawy. A i dla literatury — jeśliby nieco pokrętnie rozumować — coś by się tu znalazło, skoro najczęstszy bohater Plaźewskiego, chłopak startujący do pierwszej roboty

i pierwszych samodzielnych doświadczeń, chyba najboleśniej przeżywa kompleks braku domu. Zwykłego ludzkiego domu i może nawet DOMU-AZYLU, chroniącego przed obojętnością świata.

Dziś, kiedy utkwilem spokojnie w dziennikarce lubelskiej, Leszek stwierdza: „urzędnik się zrobiłeś, z teczką i w kapeluszu”. Pomijając już fakt, że swoją zgnilozieloną welwetową — jak to kiedyś pięknie nazywano — burdelową (czyli kaszkiet) po prostu zgubiłem, a nowej nie mogę dostać, a więc pomijając ten fakt tragiczny, sądzę, że jestem obecnie dalej od naukowego cynownictwa w krytyce literackiej, niż wówczas, gdy od tego dopiero zaczynałem uciekać, a kiedyśmy się z Leszkiem po raz pierwszy spotkali. Inna sprawa, że od tamtych czasów przybyło mi parę nowych pytań, co zresztą nie oznacza, że przybyło mi parę nowych odpowiedzi. I — choć przestałem wierzyć w strukturalne moce badawcze — jedna rzecz została przekonaniem, iż w literaturze, teście samym, mimo wszystko da się co nieco zobiektywizować, inaczej by się ludzie rozsądni na temat literatury w ogóle nie potrafili dogadać, a nawet nie mogliby się rzetelnie pokłócić. Aczkolwiek z moją obiektywizacją w przypadku prozy Plaźewskiego trudno będzie, skoro gdy czytam Leszka wyciszone książki, to słyszę jego głośnie i barwne opowieści, i skoro ośmielałem się twierdzić, że uczestniczyłem w czasie jego ludzkiej subiektywnej prawdy. W czasie, bo kto jest w stanie uczestniczyć w całej prawdzie drugiego człowieka? Subiektywnej, bo jeśli istnieje nawet jakaś prawda obiektywna o człowieku, kto potrafi ją poznać? Łatwiej już obiektywizować tekst literacki. To kwestia odpowiedniej proporcji między znajomością ludzkiej sprawy autora a sprawnością narzędzi analizy krytycznej (...)

(nr 21, 1969 r.)

DLUGO nie zastanawialiśmy się nad wyborem: ostrocznie w każdym powiatowym miasteczku moglibyśmy przeprowadzić taki jak ten „eksperyment”. Wybraliśmy zatem N. i tu zaczęliśmy od brzoskwiń. Ustaliliśmy, że „mamy” pół tony tych owoców. Cena wtedy (sprawdzaliśmy) wahała się od 23 do 25 zł za kilogram. Myśmy za swoje chcieli po 10 zł za kilogram.

Szukamy jakiejś owocarni. Jest w rynku. W sklepiu trochę ludzi, czekamy. Sprzedawczyni wydaje się to podejrzana, na wszelki wypadek od niechęci, rzuca na towar karteczki z cenami. „Licho nie śpi. Wreszcie zostajemy w sklepie sami.”

— Mamy do sprzedania transportik brzoskwiń.

— Ile?

— Pięćset kilo, pół tony...

Sprzedawczyni rozumie już, o co chodzi. Pyta o cenę. Wyjaśniamy: na rynku kosztują tyle, my chcemy znacznie mniej. Możemy dać rachunek. Prosimy tylko, żeby zaraz po płynięciu towaru jakoś go zniszczyła.

— Wła pani, pod zapalkę — radzimy — i ani śladu.

Kobieta się trochę waha. W zamyśleniu bierze słuchawkę telefoniczną...

— Pani do kogo... — jesteśmy trochę przestraszeni. — Pogadajmy spokojnie. Chcemy tę sprawę załatwić bez krzyku. Chcemy robić interes tylko z panią.

Jest oczywiście, że to lewy interes. Sprzedawczyni już rozumie...

— Chciałabym to uzgodnić z kierownikiem. Pół tony, mówią panowie, po dziesięć złotych kilo...

Kujemy żelazo póki gorące...

— Niechże pani zrozumie, mamy okazję, jutro leci tu wóz, dostarczamy towar na miejsce. Dostarczamy szybko, cały ładunek. Towar nie może czekać, brzoskwinie się psują...

— Chyba by poszły, tylko u nas w mieście nie było jeszcze brzoskwiń. Mogą się doczepić. Wydział Finansowy naprzeciwko. Wlecieć co, panowie, pomyśle. Trochę tego jest za dużo. Może by chcieli w pawilonie wziąć połowę?

— W którym pawilonie?

— Tu na rogu, parę kroków.

Idziemy do pawilonu. Nie jest to sołdny pawilon; gdzie ona tu zmieści te skrzynki z brzoskwiniami? — zaczynamy się martwić.

— Ale nie mogę panom wystawić kwitu, nie mam pieczątki — mówi sprzedawczyni.

— To my pani damy kwit — zaczyna się gorączkować kolega — na grubo większą sumę...

Czujemy, jak bardzo zaczyna nas ta gra porywać. Po prostu wygląda na to, że nam strasznie zależy na tych cholernych brzoskwinianach.

— Wziąłabym panowie, wzięłabym nawet chętnie, tylko gdzie ja to złożę? Rozkradną ludzie.

Istotnie, kiosk maciupki...

— Ma pani rację — mówimy fachowo — tyle towaru tu się nie zmieści...

Kobieta jest zadowolona, cenimy w niej dobrego, skrzętnego gospodarza stoiska. Odwziewa nam się dobrą radą:

— Mogliby panowie jeszcze w tym sklepie spróbować, ale tam kierowniczka nowa — boi się!

U fryzjera kierujemy rozmowę na automobilizm. Dowiadujemy się, że fryzjer lubi wprawdzie jeździć autem, ale

woli obok kierowcy. Taksówki mu wystarczą. Co innego żona, żona marzy o własnym samochodzie...

— Świetnie się składa — mówimy istotnie — mamy wózek do sprzedania.

— Jak? — Stój tam przy krawężniku. Nawet tanio chcemy, trzydzieści pałyków.

Fryzjer się załamuje, rzuca brzytwę, wybiega. Wraca.

— Panowie nie żartują?

— Skądże. Sprzedajemy tanio, ale musimy to zrobić szybko.

Mistrz brzytwy nie może ochłnąć, patrzy na nas z niedowierzaniem. Czujemy się trochę niepewnie. Przed chwilą dopiero przyczepiliśmy gumkami nume-

ry rejestracyjne zrobione przez naszego plastyka w redakcji na kawałkach kartonu. Może fryzjer zauważył?

— Trzydzieści tysięcy powiadają panowie. To bardzo tanio, przecież wartburgi w cenie... Panowie z Warszawy?

— Ahm — odpowiadamy. — Jak pan nie weźmie, to niech pan nam przynajmniej powie, gdzie go można sprzedać? Musimy go opchnąć dziś, no, w najgorszym wypadku, jutro...

Fryzjer jest człowiekiem bystrym i rozsądnym, więc pyta:

— Coś nie tak?

— Ależ skąd, wszystko tak, tylko, że nam się straszliwie śpieszy... Może ma pan tu kogoś, jakiegoś mechanika, który by go wziął na części?

— Na części? Taką porządną wóz?

Milczymy, właściciel wartburga jest mile polechtany. Ten się przynajmniej poznał na rzeczy!

— Spróbujcie panowie — powiada ostygly już całkowicie fryzjer — u pana...

Notujemy adres.

Wjeżdżamy wprost na podwórkę, obok starych błotników i pogniecionych drzwi jakiegoś wozu szef zrzuca siano. Przez chwilę tłumaczymy, o co chodzi.

— To ten wóz? Tak? Jadziu, daj marynarkę! Jedziemy panowie!

Na ulicy zatrzymujemy wóz i mówimy, że nie mamy żadnych dokumentów. Pytamy, czy nie rezygnuje. Skądże, jeszcze przynagla, chociaż zachowuje się mniej pewnie. Prowadzi nas przez miasteczko, które już trochę zdążyliśmy poznać. Wreszcie to decydujące skrzyżowanie. Kilkanaście metrów dalej komisarjat milicji. Ani chybł tam nas doholuje. Ale nie. Zobaczymy, co z tego będzie. Całą drogę zachwalamy maszynę. Chyba niepotrzebnie, bo facet zna się na samochodach. Widać z rozmowy, że nie chce na razie myśleć o tych papierach, których nie ma. Wreszcie jesteśmy na miejscu. Mechanik wchodzi do chałupy.

Oglądamy wóz i z przykrością stwier-

dzamy, że papierowe numery klepsko się trzymają. Na kilometr widać, że są z Bristolu.

Po chwili mechanik prowadzi „kupca”. Bez słowa zabierają się do oględzin wozu. „Kupiec” huśta wozem, sprawdza amortyzatory, wchodzi pod podwozie.

Podnoszę kłapę silnika, starając się zasłonić te nieszczęsne numery, kolega robi to samo z tylnymi.

— Wóz dobry — stwierdza mechanik.

— Ale co z tymi papierami? Panowie załatwią jakieś papiery?

— Nie — jesteśmy twardzi — jakbyśmy mieli papiery, to byśmy sprzedali za dziesięćdziesiąt.

— Z papierami dajemy sześćdziesiąt

Panowie uciekajcie!

Wiesław Barański
Bogusław Rajchert

— próbuje mechanik. Odchodzi od wozu i dostrzega papierowe numery. Mamy okazję dokładnie obejrzeć faceta, któremu „wyraźnie rzędnie mina”. Obchodzi z daleka wóz, odchyła tylną tablicę z papieru.

— Ślisko — powiada. On może być kradziony.

Och, żabki śliczne, dopiero teraz się polapały...

— Panie, czy my wyglądamy na takich? — Wzburzenie odbiera nam mowę, która zresztą i bez popisów aktorskich wypada słabo. Niemniej mechanik zmienia temat:

— Zagraniczny? — To z powodu nalepki z Mistrzostw Świata w NRD, której nie mieliśmy jeszcze czasu zeszkobać.

— Chyba zagraniczny — przytakujemy niepewnie.

Mechanik przeciera zroszone potem czoło...

— I panowie się nie bał? Aż z Warszawy? — Wyraźnie nabiera do nas szacunku.

Jesteśmy skromni — phy nie takie rzeczy...

Nabywcy rozmawiają między sobą: „Skoczył by do Wacka, co ci Wacek, samochód nie ciele, żeby to był motocykl, albo żeby był w pobliżu jakiś rozbity wartburg, podmieniłoby się wszystko, przebiło numerki, ale gdzie tu szukać rozbitego wartburga, kupić i melinować w szopie?”

Szkoda gadać, panowie. Tu nie Warszawa. Tu małe miasteczko, tu taki numer nie przejdzie.

— Szkoda — mówimy.

— Szkoda — potwierdza znajomy mechanik. — Miałem na niego chęć. O, żeby to był motocykl...

— ... ale samochód — żaluje mechanik. Żegna się z nami. Nie chce, żebyśmy go odwozili kradzionym samochodem.

W salonie radio-telewizyjnym postanowiliśmy zakupić pięć odbiorników radiowych, tranzystorowych „Berlin” produkcji NRD. Wiedzieliśmy, że od-

biorników takich nie ma w całej Polsce. Tu ich, oczywiście, też nie było.

— Ale płacimy po czterech tysiącach (w sprzedaży kosztują 3000).

— Pięć sztuk? — pyta jeszcze raz kierownik.

— Tak pięć i to możliwie szybko — przecynamy dyskusję.

— Muszę zadzwonić do magazynu — kierownik wyraźnie mleknie, czuje widnieć w nas ludzi interesu.

— To nas nie obchodzi, my będziemy to załatwiali tylko z panem, nie życzymy sobie pośredników.

— Rozumiem, ma być dyskrecja. Odpowiedz dam za trzy godziny.

Mineły Kierownik salonu czeka z niecierpliwością. Nie ma wprawdzie „Berlinów” ale są lepsze — węgliskie, może być dziesięć. Cena zostaje ta sama. Odbiorniki będą jutro przed 12 na miejscu, tu w N. Towar trzeba było zorganizować, dostarczyć. Masa fatygi.

Wyjmujemy legitymację prasową.

— Nie potrzebujemy odbiorników...

— Panowie, ja was proszę, ja was bardzo proszę...

Coś niedobrego dzieje się z kierownikiem. Cóż to może być? Chyba strach, zwykły obrzydliwy strach... zawód. Bo cóż, może innym razem powiedzie mu się lepiej. A może kierownik już nigdy nie zechce próbować?

Pijemy kawę w miejscowej kawiarni. Przy stolikach sporo ludzi, trochę nam się przysłuchują. Od drzwi wejściowych wprost do naszego stolika idą: milicjant i jakiś cywil.

— Proszę obywateli o dowody osobiste — mówi milicjant.

— Tu, w lokalu, mamy je panom pokazać? — Mimo wszystko nie jest to miłe uczucie. Cała sala patrzy na nas z satysfakcją. Nie wiedzą jeszcze, o co chodzi, ale są zadowoleni, że to spotkanie właśnie nas, obcych w tym miasteczku.

Milicjant przyznaje rację: wyjdziemy na ulicę.

— A za kawę można zapłacić? — pyta ten z nas, który zachował więcej zimnej krwi.

— Można — facet w cywilu nie odstępował jednak przyjaciela. Kelderec drżał ręce.

Na ulicy widzimy, że numery papierowe wciąż jeszcze wiszą. Psiakość, trzeba było zdjąć!

— O co właściwie chodzi? — pytamy naiwnie.

— To panów samochód?

— Oczywiście.

W Komendzie Powiatowej MO wyciągamy legitymacje prasowe. dowody. Tłumaczymy, skąd te „propozycje”. Pytamy: okazuje się, że meldunek złożył mechanik. Więc jednak — oddychamy z ulgą.

Po chwili wolni. Przed kioskiem z papierosami z cienia wylania się mechanik. Odwołuje nas na bok. Jest wyraźnie przejęty:

— Panowie, uciekajcie, ja was zdrałem na milicji. Musiałem, tu mnie znają. Jeździłymi razem. Gdyby panowie wpadli, ciągnano by i mnie. Ja bardzo przepraszam!

Zrywamy papierowe numery. Rezygnujemy już z tego fingowanego napadu na bank, jaki chcieliśmy tu dla sprawdzenia czujności przechodniów urządzić.

Bo co zaraz bank? Po co dziś bank, panowie?

(nr 23-24, 1983 r.)

ROK ZAŁOŻENIA 1933

KAMENA

LUBLIN 15. 1974. 9. 1. 1977. GOSPODARSTWO SPOŁECZNO-KULTURALNE CENA 2 ZŁ

Literatura de pe Bystrzyca

„Kamena” po rumuńsku — wkładka w tygodniku „Cronicle” wychodzącym w Jassach. Rok 1974

LUBLIN GRÜSST WIEN

GRÜNDUNGSJAHR 1933

kamena

LUBLIN WE TÖRÖN JANUÁR 1976 BY KULTURSOZIALNA HAINBONHATSCHEFFER FONDERAUSCOM

EINE STADT DER GESCHICHTE UND DER MODERNE



Spezialny numer „Kamena” w języku niemieckim z okazji Dni Lublina w Austrii. Rok 1978

Okno -lice sztuki -ki

Ból Tomaszowy

Ireneusz J. Kamiński

WPONIEDZIAŁEK, 20 kwietnia br., o godz. 8 rano szedłem ul. Narutowicza w Lublinie pogodnie usposobiony do świata, życzliwy ludziom, których na szczęście mało o tej porze na ulicach. Ów nastrój wspomagała sama natura: było pogodnie, bezdeszczowo, ptaszki na przewodach

elektrycznych radośnie ćwierkały, bramy domów już przestały śmierzdzieć.

W okolicach Teatru im. Osterwy, dopiero tam, zauważyłem białe opaski na kikutach drzew, wyznaczających ciąg ulicy, które kilka dni wcześniej pozabawiono koron, zapewne w celach zdrowotnych: wraz ze zdjęciem koron drzewa podobno nie tracą głowy, tym różniąc się m. in. od ludzi.

Zdegradowane drzewa wieńczyły więc mocno związane opaski z płótna, miejscami lekko pochłapane białą farbą. Nie wiedzieć czemu, pękło nagle me dobre samopoczucie, choć ludzi na ulicach wcale nie przy było. Przed nieuzasadnioną depresją poszukałem ratunku w małej racjonalizacji.

Jest rzeczą jasną — racjonalizowałem — że ścięte drzewa, wcale już nie młode, wymagają zastrzyku świeżej krwi, którą jak wiadomo, doprowadza się przy pomocy tzw. szepienia, czyli wprowadzenia do ich drewnianych organizmów obcych, lecz witalnych pędów. Aby pęd taki sprawnie młodość wprowadził, musi być mocno zespolony z biorcą, stąd właśnie te opaski. Tak sobie dyletancko wytłumaczyłem, wcale spokoju nie zyskałem.

Nachylone ku sobie czarne pnie drzew, obandażowane, zdawały się uosabiać zastygłe przerażenie. Po haratany dwuszybie przesładowanych, osadzony gwałtownie w ziemi komendą „Stój”. Jakaś uchwytana rezygnacja, ostateczne wyczerpanie, beznadzieja.

Profesjonalne obciążenie kazało wymamrotać: „co za ekspresja!” Bo i prawdę mówiąc dawno już nie widziałem tak wstrząsającej ekspozycji, jak ta właśnie. Może tylko wy-

stawa — spektakl Szajny w BWA jesienią ubiegłego roku, rzecz jednak reżyserowana przez artystę. Tu natomiast przypadek, nieświadome działanie ogrodników.

Nie, proszę państwa, to jednak była zupełnie świadoma demonstracja artystyczna, autorstwa Tomasz Kawiaka, asystenta warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, w czym zorientowały mnie afisze, sygnowane symbolem studenckiego klubu „Arcus”.

Informowały one, że 20 kwietnia o godz. 4.31 rozpocznie się publiczny pokaz „Bólu Tomasz Kawiaka”. Aby uczestniczyć w demonstracji, wystarczy przyjść o wschodzie słońca na ul. Narutowicza i przejść lub przejechać wycinek tej trasy, ograniczony numerami domów: 12—22 oraz 19—29. Tam właśnie stały szeregi obandażowanych drzew.

Pod taką więc postacią ujawniła się po raz pierwszy w Lublinie sztuka efemeryczna, zaszczerpiona na naszym gruncie przez artystę warszawskiego, tyle dla lokalnej publiczności, że urodzonego nad Bystrycą. „Ból Tomasz Kawiaka”, dzieło wielkiej wrażliwości i swobody wyobraźni, tak jednak czy inaczej przejdzie do historii sztuki lubelskiej jako zjawisko wyjątkowe.

Spora wyobraźni wykazywały również pewne instytucje, które zezwoliły na materializację Kawiakowej idei. Jedną z nich — Zarząd Dróg, Mostów i Zieleni — musiała zresztą z tego powodu wytrwale odierać telefoniczne ataki zaniepokojonych wyodrębnionych obywateli. Dyrektor Zarządu zniósł przecież dzielnie wszystkie napaści, teoretycznie i moralnie wspomagany przez pracownika Biura Wystaw Artystycznych, za co im obu chwala.

Bandażowanie drzew odbywało się między godzinami 22 a 24, niepomniernie intrygując przypadkowych przechodniów. Biorąc artystę i jego przyjaciół za ogrodników pytało, czy chronią drzewa przed robakami. Pewne starsze małżeństwo zaspokajało swoją ciekawość krążąc przez dobry kwadrans wokół animatorów. Zatrzymywały się radiowozy milicyjne, których załogi rozbrajano urzędowymi papierkami. Zaalarmowany telefonicznie przez okolicznych mieszkańców dzielnicowy MO zaczął indagację w tonacji niewiele dobrego wróżącej młodym ludziom, lecz skończył jak przystało na świeżo pozyskanego przyjaciela, pełnego zrozumienia dla nowej sztuki.

Ile wystaw plastycznych w Lublinie, zorganizowanych w ostatnich latach przez miejscowe środowisko, cieszyło się takim autentycznym zainteresowaniem społecznym, pobudziło do tylu żarliwych sporów, protestów i słów akceptacji? Policzcie na palcach jednej dłoni.

Można przypuszczać, że było to zainteresowanie podstępnie sprowokowane, rozwijające się obok faktu artystycznego, wynikało — powiedzmy to tak — z troski o przyrodę, nieświadome intencji Kawiaka. Jeśli nawet, to przecież „Ból Tomasz Kawiaka” wytrącił ludzi z codziennego letargu, wprowadził niemole zamieszanie do obywatelskich jaźni, zawiesił znak zapytania nad codziennym przepływem zdarzeń. A o to przede wszystkim chodziło. Kawiak spełnił postulat sztuki pojmowanej jako instrument interwencji społeczno-psychologicznej.

„A my i tak wolem malować obrazy”. No to malujcie. Dla siebie i krewniaków.

(nr 11, 1968 r.)

BIG-BEAT

Rozrabiacz czyli...

PANIE Redaktorze! Usłyszałem takie zdanie: „X rozrabiał, rozrabiał i wreszcie doczekał się — jego rozrobili”. A co to właściwie znaczy, że X rozrabiał?

Niepokoi mnie samo sformułowanie „rozrabiacz”, jako że przy odrobinie złej woli każdy, kto nie godzi się z ustalonym porządkiem rzeczy (a przez „porządek rzeczy” rozumiem i tzw. małą stabilizację, i wszelkie przejawy oportunistyki), może być pod to miano podciągnięty.

Zażożmy, że uczestniczę w konferencji samorządu robotniczego. Proszę o głos i mówię, że towarzyszy dyrektor oderwał się od załogi, że nie liczy się z jej opinią, że żona towarzysza dyrektora korzysta ze służbowego samochodu, wozł nim marchew i kapustę, że telewizor, który powinien stać w świetlicy, znajduje się w prywatnym mieszkaniu towarzysza dyrektora. Wszyscy o tym dobrze wiedzą, szepczą po kątach, ale teraz, na zebraniu, nikt się nie odezwie, nikt mnie nie poprze.

Po tygodniu widzę, że jestem bacznie obserwowany, otrzymuję gorzej płatną robotę, a kiedy raz — nie ze swojej winy — spóźniam się 10 minut do pracy, otrzymuję upomnienie na piśmie z groźbą natychmiastowego zwolnienia. Jeśli podobne przewinienie się powtórzy, próbuję interweniować, usprawiedliwiam się, a w odpowiedzi słyszę: „Już dość narozrabiałeś. Jeśli będziesz rozrabiał dalej, wylecisz na zbitą mordę!”

No tak, wychyliłem się... Mam jednak pewną satysfakcję. Telewizor stoi już w świetlicy. A szofer dyrektora zwierzał mi się po cichu, że już nie jeździ po marchew i kapustę. W sumie więc wygrałem, krytyka pomogła. Co

jednak przyniesie dzień jutrzejszy? Co będzie, gdy znów nastąpi awaria komunikacji miejskiej? Czy pozwolą mi się wytłumaczyć?

Piszę w formie „ja”, ale rzecz jest autentyczna. Te historie opowiedział mi kolega pracujący w Rzeszowie. Sądząc zresztą, że nie jest ważne miasto, ponieważ mogło się to zdarzyć w każdym kraju, w każdym mieście. Nikt nie lubi krytyki, to fakt. Ale im wyżej sięga krytyka, tym większe powinno być jej zrozumienie. Zwłaszcza wówczas, gdy krytyka jest konkretna, opiera się na faktach, a jej założeniem jest chęć usunięcia nieprawidłowości, przejawów dygnitarstwa, łamania norm życia społecznego.

Znam — nie tak znów wielką — Pewną Osobistość, która mieszka 360—460 metrów od instytucji, w której pracuje. Dzień w dzień po te Osobistości przyjeżdża samochód służbowy. Wszystko jest zgodne z przepisami, Osobistość ma bowiem prawo korzystania z samochodu, mimo dogodnych warunków komunikacji miejskiej. Pał jednak licho przepisy, komunikację miejską. Czy jednak tak po prostu dla podreperowania zdrowia, dla uzyskania lepszej kondycji Osobistość nie mogłaby pójść do Instytucji piechotą? Czy Osobistość wie, że kierowca służbowego samochodu wstaje godzinę przedtem, jedzie autobusem cztery kilometry na trasie dom — garaż i pilnie baczny, aby się pięciu minut nie spóźnić? A szofer jest takim

samym obywatelom PRL, jak i Osobistość. Nadmieniamy przy okazji, że obaj są członkami jednej i tej samej organizacji.

Jeśli powiem o tym, nazwa mnie rozrabiaczem. Nikt nie stwierdzi, że powodowała mną troska o zdrowie Osobistości i dłuższy o pół godziny sen kierowcy.

Rzecz z własnego podwórka. Jest sesja egzaminacyjna. Patrzę na rozkład egzaminów i włosy mi się jeżą na głowie. Trzy najcięższe egzaminy sgrupowane w kilkudniowych odstępach. Kiedy można było zrobić rozsądną przepłatanke. Od czego jest starosta na naszym roku? Zwrociłem się do niego z pytaniem, czy nie mógł z profesorem przekonsultować innego harmonogramu? Spojrzał na mnie, jak na Marjanina. „Czy ty zwariowałeś? — oświadczył ze zdziwieniem. — Chcesz żeby mnie nazwano rozrabiaczem? Ja chcę żyć i... zdać te egzaminy!”

Nie szafujmy słowem rozrabiacz. Nie tylko z tego względu, że słowa tego nie znajdziemy w słowniku poprawnej polszczyzny. Zamiast: rozrabiacz, mówmy: masz, lub nie masz racji. A gdy ktoś nas po prostu obrazi, możemy wystąpić do sądu. Co prawda niektórzy zalecają wymierzenie sprawiedliwości na miejscu, tradycyjnym sposobem.

Pan Redaktor myśli o pojedynku? Bzdura, bo kto ma dzisiaj bilet wizytowy? Tradycyjny sposób to mordobito. Jestem przeciw, bo wówczas i obrażający i obrażony mogą stanąć przed kolegiem. Obaj też mogą otrzymać jednakową karę w złotych polskich.

A przecież za mniejszą sumę można się pojednać, wycelaować i w dodatku dać zarobić uspołecznionej gastronomii. Kto się po tym felletonie obrazi, może mnie zaprosić do baru „Pod karasem”. W najbliższy poniedziałek między 16 a 17 czekam na ewent. telefon.

Jackek
(nr 13, 1968 r.)

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski

Redaguje zespół: Maria Bechzyce-Rudnicka, Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelnny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeraty na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄZKA—RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:

— do 23 listopada na styczeń, 1 kwartał, 1 półrocze roku następnego i na cały rok następny.

— do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 18.—

Jednostki gospodarki społecznej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄZKA—RUCH”.

Zakłady pracy, instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze słaniem wysyłki sa granicę, która jest o 80% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄZKA—RUCH” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw. ul. Towarowa 28, 00-338 Warszawa, konto PKO nr 131-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—18.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” Lubelskie W. dawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 2372.

Numer łamali Wiktor Muda, Tadeusz Słoboda i Gabriela Lapsj, drukował zespół pod kier. Stanisława Wiegosa

Nr indeksu 36381

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelnny 255-93, z-ca red. nacz. 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

KAMENA
XXX STARI
KAMENI

Kamena
MAJDANEK

Kamena
Z JEDNEJ GLINY

Poprawki
do wniosków

Noty

ŚRODOWISKO LUBELSKIE nie będzie miało w bieżącym roku teatru. Gmach jest wcale niebrzydki i nieźle zaopatrzony, reflektanci byli, pertraktował w tej sprawie St. Wasilewski, a potem W. Gralewski. Niestety, władze miejskie nie zyczyły sobie widocznie utrzymania tego rodzaju placówki w mieście, liczącym 120 000 mieszkańców skoro postawiły kandydatom takie warunki, których żaden z nich nie mógł przyjąć.

WRZESIEŃ zastał smutną sytuację wśród poetów polskich: Adam Ważyk, jeden z czołowych bryków współczesnego poezia, został aresztowany pod zarzutem działalności „amunicyjnej”. [..] (nr 2, 1933 r.)

SOWIECKI NUMER (518) „WIADOMOŚCI LITERACKICH” powinien się znaleźć w rękach każdego inteligentnego czytelnika. Daje on wszechstronny obraz życia kulturalnego ZSRR w oświetleniu wybitnych jego twórców. Uwzględniając nawet zrozumieliśmy możliwość pewnego subiektywizmu autorów w przedstawianiu życia duchowego Związku, podziwiać musimy olbrzymi jego rozmach twórczy we wszystkich dziedzinach kultury. „Wiadomościom Literackim” należy się prawdziwe uznanie czytelników za piękną inicjatywę, która przyczyni się w dużym stopniu do zbliżenia sąsiadujących państw. Teraz kolej na „Literaturnuju Gazietu” wydać numer, poświęcony kulturze Polski Odrodzonej. (nr 3, 1933 r.)

POeci LUBELSCY W BIAŁYMSTOKU, 21-ego lutego r. b. staraniem Kota Miłośników Literatury i Sztuki odbył się w Białymstoku wieczór poetów Lubelszczyzny, w którym wzięli udział Józef Czechowicz, Henryk Domański, Kazimierz A. Jaworski i Antoni Madej. Słowo wstępne o ruchu literackim w Lubelszczyźnie wygłosił K. A. Jaworski, po czym nastąpiły recytacje wierszy przez ich autorów oraz przemówienie J. Czechowicza o życiu kulturalnym Lublina.

„WGLĄB LAS” Juliana Przybosa to najbardziej dojrzała realizacja teoretycznych założeń „szkoły” krakowskiej. Nie jest to ani wypracowana sztuczność Peipera, ani łamane Brzękowskiego; „wstydlivość uczuć” nie pociąga za sobą bezwstydu rozwiniętej metafory, koncepcji nie zabijają koncepcji i elipsa nie przeraża się w eklipsę, panosząca się dziś nagminnie w naj młodszym pokoleniu awangardzistów. Pośredniość Przybosa wynika nie z programu, ale z istotnej potrzeby poetyckiej i dlatego trafia do przekonania. Krótko mówiąc, książka dużego talentu i rzadkiej odpowiedzialności artystycznej. [..] (nr 7, 1934 r.)

„WIEŚ — JEJ PIESŃ”, organ Literatów Ludowych w Polsce (Naprawa kota Jordanowa) to naprawdę pismo godne uwagi już choćby przez to, że jest clubnym świadectwem znaną, zachodzących w kulturze wsi małopolskiej. Wieś lakonie poezji, czyta wiersze, sama współpracuje w redagowaniu własnego miesięcznika literackiego — to naprawdę objaw wysoce pocieszający na tle ogólniejszym, zdawało się, obojętnej dla poezji w Polsce. To nie, że sily pisarzy są jeszcze słabe, choć i tu zarysowują się już pewne talenty (A. Ochoja). [..] Miesięcznik, zgodnie z uchwałami niedawno odbytego zjazdu Liter. Lud. stoi na gruncie klasowym i opowiada się za tworzeniem kultury robotniczo-chłopskiej. (nr 4, 1934 r.)

DAJE SIĘ ZAUWAŻYĆ z każdym miesiącem coraz bardziej wzrastającą decentralizację ruchu literackiego. „Zet” w artykule „Ferment” (Nr. 68) notuje istnienie u nas w styczniu r. b. 24 pism literacko-artystycznych (wielu o zabarwieniu polityczno-społecznym), z których prawie połowa powstała w ostatnim półroczu. Lwia część ich przypada na miasta wojewódzkie i inne prowincjonalne. Te ośrodkami, jak o tym pisze M.

Turwid w Nr 40 „Wielkopolskich”, przestały już być „Światem zabitym deskami”, choć dla stolicy wyraz „prowincja” wciąż jeszcze jest „pogardliwym a w każdym razie bagatelizującym określeniem”. Równocześnie z tym maleją wpływy „Sztabów literackich” (interesujący artykuł S. Czernika w Nr 2 „Akcji literackiej”).

„WSRÓD PISM, które ukazywały się w ostatnich miesiącach, na szczególną uwagę zasługują dwa lewicowe: „Poprostu” i „Nowa Wieś”. „Poprostu”, wileński dwutygodnik literacko-społeczny, o redagowany przez Dembińskiego, Mikulke i Orde, w pierwszych dwóch numerach sprawdził się jednak głównie drugą część swego podtytułu, gdyż część literacka prezentuje się w nim na razie ubogo. Podkreślić należy uwzględnienie przez pismo kroniki białoruskiej (ale przydałaby się i literacka) i podawanie informacji o nieznanym prawie zupełnie u nas poezji białoruskiej (artykuł o Jan-ce Kupale). [..] (nr 1, 1935 r.)

CYTUJEMY „PROSTO Z MOSTU” (Nr. 43): „Cały świat mówi o wojnie włosko-abisyńskiej. Mówi o niej również i świat artystyczny. Oczywiście jest po stronie abisyńskiej. Przeraza go skala poczynań faszystów. W dalszym ciągu tkwi w humanitarnych rozkłamaniach i pojękaniach pacyfistycznych. Może nawet dorzuci trzecią złotówkę do funduszu sanitarnego dla armii negusa, zbieranego (negusa się zbiera? — przyp. nasz) skrzętnie przez redakcję „Robotnika”. Do tej pory złożono już dwie. I dziwić się potem, że młodzież nie czyta beletrystyki, niechętnie chodzi do teatru, że jest źle... A w innym miejscu entuzjastycznie: „W Abisynii odnosi zwycięstwa głównodowodzący wojsk włoskich, stary generał de Bono. Ciekawa to postać. W czasie wielkiej wojny... itd. Dziś podbija Abisynię.” Słowem, niech żyje cywilizacja bomb, rzucanych w szpitalu Czerwonego Krzyża, fosgenu, wytruwającego bezbronnym, „barbarzyńców”, ich żony i dzieci, i kul dum-dum! Istotnie, po co się rozkładać nad tą „skalą poczynań faszystów”. Ale skąd wnioski w stosunku do młodzieży, która, jeśli chodzi o polską, z całą pewnością nie podpisywała się pod powyższymi cytatami? (nr 2, 1935 r.)

SZTAUDYNGER, JAWORSKI, KOLONECKI, WIERZYŃSKI — ceteri nagrody literackie otrzymane ostatnio przez poetów, a kto wie, czy nie zapowiadająca się piata P. A. L. dla najmłodszych — zdawałyby się świadczyć o wielkim zainteresowaniu w Polsce poezją. Bezspornie liryka nasza rozwija się i uzyskuje poważne osiągnięcia. Ale kto utwory liryczne poza poetami i nieletnią garstką miłośników poezji czyta? (nr 4, 1936 r.)

ENTUZJASTYCZNY ARTYKUŁ FR. SIEDLECKIEGO o literaturze dla dzieci i młodzieży w ZSRR („Skamander” zeszyt 66) oraz cytaty z niektórych utworów, świadczące o niewątpliwie ich wartości treściowej i artystycznej powinny zainteresować naszych pisarzy i wydawców i skłonić ich do wysnucia stąd odpowiednich wniosków.” (nr 6, 1936 r.)

FALA ARESZTOWAŃ POLITYCZNYCH w końcu marca ominęła światła literackie. Jak donosi „Robotnik” uwieczono poetę lewicowego Leona Pasternaka, którego ostatni zbiorek omawiamy na innym miejscu. (nr 4-5, 1936 r.)

PAŹDZIERNIKOWY NUMER „TECZY” przynosi m. in. interesujący artykuł Stan. J. Nowaka „Swastyka w Polsce”. Autor stwierdza istnienie w Polsce dwóch wielkich organizacji: „Jungdeutsche Partei („młodych”) i Deutsche Vereinigung („starych”) różniących się między sobą metodami i taktyką działalności, pracujących jednak zgodnie w duchu hitlerowskim, oraz informuje o ich prasie i działalności. Nowak dochodzi do wniosku, że „niebezpieczeństwo niemiecka w Polsce... jest w przededniu ... złączenia się w

jeden jednolity obóz stojący pod sztandarem narodowo-socjalistycznym, całkowicie uzależniony od Berlina” i kończy swe ciekawe rozważania przypomnieniem, iż „narodowy socjalizm nakazuje Niemcom w Polsce: utrzymać dotychczasowy stan posiadania, pielegnować kulturę i obyczaje Niemiec hitlerowskich, utwierdzić niemieckość wśród ludności polskiej oraz torować drogę pochodowi Niemców na Wschód.” (nr 2, 1936 r.)

JURY „WIADOMOŚCI LITERACKICH” ucałowało za najwyższą lalełkę polską 1936 r. „Pamiętniki chłopów”. Można rozmatnie zaprzeczyć, że to nie niespodzianą decyzję, niewątpliwą rzeczą jest jednak, że ma ona duże znaczenie moralne i społeczne, jest bowiem, jak to trafnie określił Dąbrowski, „manifestacja kontaktu między kulturą intelektualną a kulturą wsi”. (nr 3-6 1937)

OTRZYMALISMY PROTEST PRZECIWKO OSTATNIEJ REFORMIE ORTOGRAFII, podpisany przez z górą stu literatów, publicystów i dziennikarzy połączony z wnioskiem do p. Ministra Oświecenia Publicznego o zarządzenie rewizji w tej sprawie. Brak miejsca nie pozwala nam zamieścić tego oświadczenia in extenso. Osobiście uważamy, że dalsze „poprawianie” pisowni wprowadziłoby jeszcze większy zamęt. Niech więc będzie jak jest, choć nie jest dobrze, byle już tylko ortografię, która jest przeciw konwencji, wreszcie ustalić. (nr 8-10, 1937 r.)

UKAZAŁ SIĘ OSTATNI (30) NUMER „OKOLICY POETÓW”. Po półtrzydziestoletnim borykaniu się z trudnościami finansowymi i obojętnością społeczeństwa red. St. Czernik stwierdza, że „gdymy nowych złudzeń zabrakło, a z dawnych nie ukata się trwała rzeczywistość, dalsze ukazywanie się pisma okazało się niemożliwe”. A szkoda wielka. Miesięcznik był pozycją wartościową i wielu młodych poetów związało się z nim serdecznie i niemił. Był zresztą jedynym w Polsce pismem poświęconym wyłącznie poezji i jej sprawom. Może właśnie ta ekskluzywność „Okolicy” wywołała jej upadek? A teraz quis sequens? (nr 1, 1937 r.)

PO PÓLROZCZNEJ PRZERWIE ukazał się nowy zeszyt „Okolicy Poetów”. Wznowienie pożytecznego czasopisma niewątpliwie zostanie powitane z radością przez miłośników i adeptów poezji, z których niejednen na łamach tego miesięcznika zamieszczał swoje pierwsze wiersze. (nr 1, 1937 r.)

PRO DOMO SUA. Jeżeli „Kamena” dobrze służy sprawom literatury polskiej, jak o tym czytamy w Nr. 2 „Ateneum”, to po co wypominać jej dwukrotnie „prowincjonalizm”? Zamiast zrozumieć warunki, w jakich blisko pięć lat wychodził pismo literackie na prowincji, pismo korzystające z usług skromniutek drukarni i borykające się wciąż z trudnościami finansowymi (a jednak nie ulegające w tej walce) — zrzedł się: a to lchy papier reprodukcyj, a to linoryty wciąż tego samego grafika, a to „dziwna symboliza” poetów angielskich z czeskimi lirykami (niby co dziwnego? czy to polityka? Pod względem kultury wiersz Nerwała wcale nie stoi niżej od poetów angielskich, w których śladem się znalazł). Rozumiemy najsurowszą krytykę, ale przykry jest ton wyższości: — my, Warszawa. I dlatego, mimo iż sad o „Kamencie” był na ogół dodatni, ta protekcyjność stołeczna w roku Pańskim 1934 smuci nas. „Ateneum”. (nr 7, 1938 r.)

ZAMIAST NOT... „SYGNAŁY” Nr. 66 — „Zawsze kochaliśmy i kochamy wolność i niepodległość. Zawsze walczyliśmy i walczymy przeciwko tym, którzy niosą nam niewolę. Teraz nadchodzi czas walki o nasze największe dobro. Stworzymy siłę, o którą skruszy się tutejski imperializm. Powtórzmy Grunwald. Zalamie się na zawsze potęga, dusząca ludy świata. Zniknie potworna zmore.” (nr 7, 1938 r.)

„CZARNO NA BIAŁEM” Nr 14 — „Czas największy, a by instykt krwi i ducha narodu niezłomnym przemasował głosem! Aby szedł z ser-

ca do serca, zapalając je ogniem bohaterstwa jak nigdy w obliczu niebezpieczeństwa zapalano wici na wojnę! — Bo patriotyzmu nie brakuje z pewnością i w tych krajach, które poddały się lub zaprzedały zostały Berlinowi. Ale ich patriotyzm uśpiono. Ich serca talające zmrożono lodem, jak niegdys dyktator Chłopicki zmroził lud powstańczej Warszawy, lekając się bardziej, według słów Mochnackiego, rozruchów społecznych, niżli armat Dybicka.” (Wincenty Rzymowski: „Operacje przed chloroformem”. (nr 7, 1938 r.)

DO CZYTELNIKÓW I PRZYJACIOŁ „KAMENI”: Szósty rok istnienia „Kamena” dobiegł końca. [..] borykaliśmy się ostatnio z wielkimi trudnościami finansowymi, co odbiło się na punktualności w ukazywaniu się pisma. Zeszyt niniejszy wyszedł jako numer potrójny tylko dzięki subwencji Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa „Patriotycznego i Społecznego Dzieła” Instytutu Lubelskiego. Dalejza egzystencja „Kamena” jest pod znakiem zapytania. Zwracaliśmy się trzykrotnie do „Funduszu Kultury Narodowej” z prośbą o subwencje na wydawanie pisma, ale mimo iż nie szło tu o tysiące, ale tylko o setki, stale spotykaliśmy się z odmowną odpowiedzią. Nie zachwyciło to jednak naszego mniemania — oparteego zresztą na przychylnych stosach krytyki — że „Kamena” na szrotowym odcinku swojej pracy do kultury narodowej pewnie fundusz wnosi. Wypadłoby teraz „Kamena” podzielić los „Drogi”, „Pionu”, „Marcholla”, „Okolicy Poetów” i in. pism, dla których w drześniejszych, „kulturalnych” czasach nie znalazło się miejsca. Mimo wszystko jednak nie chcemy ustępować. [..] Numer niniejszy zamyka szósty rocznik „Kamena”. Zeszyt pierwszy rocznika siódmego ukraje się w końcu września r. b. (nr 5-10, 1939 r.)

PO SZĘŚCIU KRWA-WYCH LATACH — nie, wiekach! — milczenia wznawiamy „Kamena”. Wchodzimy nie tylko w nowy okres wydawniczy ale; w nową epokę Pol-ski... (nr 1, 1943 r.)

KSIĄŻKA PISANA KRWIĄ I ŁZAMI i straszliwym zbiorem „facuse” pod adresem barbarzyńskich okupantów jest „Terror niemiecki w Zamojeszczynie 1939-1944”. Ta wstrząsająca publikacja, której materiał powinien być uwzględniony w procesie norymberskim, ukazała się jako t. I wydawnictwa materiałów do dziejów Lubelszczyzny w latach 1939-1944 pod redakcją dr. Zygmunta Klukowskiego, zastępowanego działacza i redaktora b. „Teki Zamojskiej”. [..] (nr 1, 1943 r.)

W. BRONIEWSKI powrócił w świetnej formie i czytamy cykl jego wierszy w „Kuznicy”. (nr 1-3, 1944 r.)

MOŻNA SIĘ NIE ZGADZAC Z J. A. KRÓLEM w jego zagalopowaniu się względem „ziemiańskiej” poezji Kochanowskiego, który krajobraz wiejski poznaje „z próżniackiej pozycji kapitalisty” i maluje go „poetycko bardzo ubogo”; można na cytatach poetów chłopskich ze „Wsi” odpowiedzieć, że nie zawsze patrz na „zagony, łąki i lasy” jako na „składniki pracy” tworząc jednak poezje, — ale trzeba stwierdzić, że „Wieś” jest tygodnikiem żywym i potrzebnym. [..] W numerach 17 i 18 „Wsi” cenną pozycję stanowią fragmenty satyrycznego „Poematu nowosieleckiego” J. Ozgi-Michalskiego i pierwsza reakcja poetycka na reformę rolną „Moje pole” A. Olchy, którego już pierwociny „Przed świtem” zapowiadały, jak to sygnalizowała w swoim czasie „Kamena”, tęgiego poete.

ADRESAT NIEZNANY. Z tym dopiskiem otrzymaliśmy z Łodzi zwrot listu poleconego, który

„Pamięty Wiesławowi Broniewskiemu na podany nam adres [..] Broniewski 11 Łódź robotnicza jak przeczytaliśmy widać uwrot przesyłającego poezję, a na pozostawionej to kłosa „Kamena”.”

NIEZMIERNIE INTERESUJĄCY I INSTRUKTYWNY jest artykuł Przybosa w wielkannocnym numerze „Odrodzenia” na temat wiersza Mickiewicza „Polacy się lży me...” Utwór jest bezspornie malutkim arcydziełem. Ale choć zgodzamy się z wywodami autora, nie możemy się pozbyć wrażenia, że mimo wszystko rozważania jego powstały jednak pod sugestią nazwiska Mickiewicza. Przybos wspomina zresztą o tym, że można zamieć takie stanowisko. Krótko i wżwłowało; gdyby ten wiersz znalazł się np. w obecnym numerze „Kamena” podpisany zupełnie nieznanym nazwiskiem, czy Przybos zadalby sobie trud napisania o nim całego artykułu i uznał utwór za „jeden z najbardziej nowatorskich wierszy w języku polskim”? (nr 5-7, 1944 r.)

W TEJ SPRAWIE mamy konkretny projekt: Związek Zawodowy Literatów Polski oddział lubelski powinien koniecznie wystąpić i inicjatywa wydania zbiorowego pism „Czechowicz”. [..] Warto by też pomyśleć o pomniku na grobie poety. Do akcji tej trzeba by włączyć całe społeczeństwo lubelskie. Nie zawadziłoby też jednej z ulic lubelskich nazwać imieniem piewcy starego Lublina.

PRO DOMO SUA. Wstąpiłiśmy w drugi, a licząc sześć lat przedwojenny, w ósmy rok wydawniczy. [..] Wznowienie „Kamena” spotkało się na ogół z życzliwym przyjęciem prasy i koleżeńskich organów. „Kuznica” np. już w lipcowym n-rze 1945 r. a więc na cztery miesiące przed ukazaniem się Nr. 1 „Kamena” anonowała, bynajmniej nie inspirowana przez nas, że miesięcznik będzie wznowiony. [..] Pozostaliśmy wierni dawnemu programowi, który realizujemy w zmienionych, bardziej sprzyjających naszym zamierzeniom warunkach. Za sobą mamy legitymację sześciu lat przedwojennych, nie musimy „przystosowywać się”, przemalowywać chorągiewki, podróżować do Canossy, bić się w pierś z racji dawnego antysemityzmu czy inklinacji totalistycznych. „Kamena” pozostała „Kamena” i kroczy dalej swoją drogą dla wszystkich chętnych [..] gościnnie otwarta, propaguje zbliżenie narodów słowiańskich, wyławia z całą życzliwością młode talenty, nie szkodzi, że może czasem zbyt tolerancyjnie. Przecież niejednen autor słabych wierszy w przedwojennej „Kamencie” zajmuje dziś nieposlednie miejsce na Parnasie naszej literatury. [..] (nr 1-3, 1944 r.)

Od redakcji: Prawie wszystkie (poza dwoma, trzema) cytowane wyżej Noty wyszły spod pióra Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. KAJ prowadził tę rubrykę prawie nieprzerwanie od pierwszego numeru „Kamena”, żywo reagując, niekiedy polemicznie, na sprawy dnia współczesnego. Pod koniec lat sześćdziesiątych noty zmieniły swój charakter i tytuł, opracowywał je (rubryka „Noty i notki”) Jerzy Dostalni (JOD). Kolejny rok wydawania „Kamena” przedwojennej zaczynał się we wrześniu (tak jak rok szkolny), stąd np. numeracja może dziwić niezorientowanego czytelnika. Oczywiście wybór not jest w pewnym sensie subiektywny, wiele dawnych potyczek straciło na aktualności, wy-magaloby specjalnych komentarzy. Tego chcieliśmy uniknąć. Sądymy jednak, że ta prezentacja zainteresuje czytelników.